

René Daumal

# GÓRA ANALOG

ROMANS O PRZYGODACH ALPINISTYCZNYCH,  
NIEEUKLIDESOWYCH I SYMBOLICZNIE AUTENTYCZNYCH

Tytuł oryginału:

## Le Mont Analogue

roman d'aventures alpines, non euclidiennes  
et symboliquement authentiques

par

René Daumal

Przekład z francuskiego opracował  
Tomasz Stachowiak (2018)

Opublikowano w Polsce (2020)  
<https://monodromy.group/Analogue>



# SPIS TREŚCI

<b>I</b>	<b>KTÓRY JEST ROZDZIAŁEM SPOTKANIA</b>	<b>5</b>
<b>II</b>	<b>KTÓRY JEST TYM O ZAŁOŻENIACH</b>	<b>23</b>
<b>III</b>	<b>KTÓRY JEST TYM O PRZEJŚCIU</b>	<b>41</b>
<b>IV</b>	<b>W KTÓRYM PRZYBYWAMY I W KTÓRYM PROBLEM PIENIEDZY POJAWIA SIĘ ŚCIŚLE</b>	<b>55</b>
<b>V</b>	<b>KTÓRY JEST TYM O ROZBICIU PIERWSZEGO OBOZU</b>	<b>69</b>
	<i>Posłowie</i>	<b>77</b>
	<i>Notatki autora</i>	<b>79</b>
	<b>ILUSTRACJE AUTORA</b>	
	<i>Członkowie ekspedycji</i>	<b>24</b>
	<i>Benito Cicoria</i>	<b>27</b>
	<i>Diagram Góry Analog w pionie</i>	<b>31</b>
	<i>Diagram Góry Analog w poziomie</i>	<b>32</b>
	<i>Projekcja cylindryczna ukazująca masywy łądowe i położenie Góry Analog</i>	<b>36</b>



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### KTÓRY JEST ROZDZIAŁEM SPOTKANIA

*Nowy zwrot w życiu autora – Góry symboliczne – Poważny czytelnik – Wspinaczka górską na Passage de Patriarches – Ojciec Sogol – Wewnętrzny park i zewnętrzny mózg – Sztuka poznawania się – Człowiek, który przewraca idee na nice – Zwierzenia – Szatański klasztor – Jak dyżurny diabeł skusił zmyślnego mnicha – Obrotna Fizyka – Przypadłość ojca Sogola – Strach przed śmiercią – Ze wzburzonym sercem, umysłem ze stali – Szalony plan, zredukowany do prostego zadania triangulacji – Prawo psychologiczne*

**M**OJA historia rozpoczyna się od nieznanego pisma na kopercie. Napisane na niej były jedynie moje nazwisko i adres *Revue de Fossiles*<sup>1</sup>, gdzie niegdyś publikowałem, a skąd przekierowano ten list. Jednak już te kilka pociągnięć pióra oddawało zmienną mieszankę przemocy i delikatności. Pod powierzchnią mej ciekawości nadawcy i treści, mgliste lecz potężne przeczucie przywołało we mnie obraz „kamyka w młyńskim stawie”. I z głębi mnie, jak bąbelek, wynurzyło się przyznanie, że moje życie stało się niedawno nazbyt gnuśnie. Tak że, gdy otworzyłem list, nie byłem pewien, czy podziałał na mnie jak orzeźwiający powiew, czy jak nieznośny przeciąg.

Jednym, zdawałoby się, ruchem, ta sama, płynna ręka napisała jak następuje:

---

<sup>1</sup>*Revue...* (fr.) – Przegląd Skamieniałości.

Szanowny Panie,

przeczytałem Pański artykuł o Górze Analog. Jak dotąd miałem się za jedyną osobę przekonaną o jej istnieniu. Dziś jest nas dwóch, jutro będzie dziesięcioro, być może więcej, i możemy podjąć się ekspedycji. Musimy spotkać się bez zwłoki. Proszę zadzwonić, gdy tylko da Pan radę, pod jeden z poniższych numerów. Będę oczekiwał Pańskiego telefonu.

Pierre Sogol  
37 Passage de Patriarche  
Paris

(Dalej następowało pięć czy sześć numerów telefonu, pod które mogłem dzwonić o różnych porach dnia).

Prawie już zapomniałem o artykule, do którego nawiązywał mój korespondent, a który ukazał się jakieś trzy miesiące wcześniej w majowym numerze *Revue des Fossiles*

Choć mile polechtany tym wyrazem zainteresowania ze strony nieznanego mi czytelnika, czułem się nieswojo z tym, że ktoś mógł wziąć na poważnie, niemal tragicznie, fantazję literacką, której dałem się wtedy porwać, a która zdążyła już wyblaknąć w mej pamięci.

Przeczytałem ten artykuł ponownie. Był on raczej pospieszną analizą symbolicznego znaczenia góry w mitologiach antycznych. Różnorakie dziedziny interpretacji symbolicznej były od dawna moim ulubionym przedmiotem badań; naiwnie wierzyłem, że cośkolwiek rozumiem w tym temacie. Ponadto, darzyłem góry gorącą miłością jako alpinista. Zbieg tych dwóch kontrastujących pól zainteresowań na tym samym temacie, górze, nadał niektórym fragmentom mego artykułu lirycznego tonu. (Takie połączenia, choć wydają się nieskładne, odgrywają dużą rolę w genezie tego, co potocznie nazywa się poezją; wysuwam tę uwagę jako sugestię dla krytyków i estetyków, którzy usiłują rozjaśnić głębie tego tajemniczego języka).

W gruncie rzeczy napisałem, iż w tradycji mitycznej Góra jest

wieżą pomiędzy Ziemią a Niebem. Jej samotny szczyt dosięga sfery wieczności, a podstawa rozpościera swe mnogie stoki w świat śmiertelników. Jest drogą, po której człowiek może wspiąć się ku boskości, a którą boskość objawia się człowiekowi. Patriarchowie i prorocy Starego Testamentu na wzniesieniach stawali twarzą w twarz z Panem. Dla Mojżesza były to góra Synaj i Nebo; w Nowym Testamencie są to Góra Oliwna i Golgota. Pozwoliłem sobie nawet odkryć ten pradawny symbol w piramidalnych konstrukcjach Egiptu i Chaldei. Przechodząc do Aryjczyków, przypomniałem te niejasne legendy, w których *soma* – „nektar”, który jest „nasieniem nieśmiertelności” – spoczywa w swej świetlistej i subtelnej postaci „wewnątrz góry”. W Indiach Himalaje są siedzibą Sziwy, jego małżonki „Córy Gór” oraz „Matek” wszystkich światów, tak jak w Grecji góra Olimp mieści dwór króla bogów. Właściwie to w mitologii greckiej odnalazłem domknięcie tego symbolu poprzez historię buntu dzieci Ziemi, które, z ziemskiej natury i ziemskimi środkami, usiłowały wspiąć się na Olimp i wstąpić do Nieba na glinianych nogach. Nie było to tym samym przedsięwzięciem jak owo budowniczych wieży Babel, którzy, nie porzuciwszy swych różnorodnych osobistych ambicji, usiłowali dostąpić królestwa jedyne, wiecznego Bytu? W Chinach ludzie od zawsze wspominali o „Górach Błogosławionych”, a starożytni mędrcy udzielali lekcji swym uczniom na krawędziach przepaści.

Dokonawszy przeglądu najlepiej poznanych mitologii, przeszedłem do ogólnej dyskusji symboli, które podzieliłem na dwie klasy: podległych jedynie prawu „proporcji” i tych, które dodatkowo podlegają również prawu „skali”. Rozróżnienie to czyniono już nie raz. Niemniej jednak powtórzę je: „proporcja” dotyczy relacji pomiędzy wymiarami struktury – „skala” relacji między tymiż a wymiarami ludzkiego ciała. Trójkąt równoboczny, symbol Trójcy, ma tę samą wartość niezależnie od swoich rozmiarów; nie ma „skali”. Z drugiej strony, weźmy katedrę i zredukujmy ją do dokładnego modelu o wysokości kilkunastu centymetrów. Obiekt ten zawsze będzie oddawał, poprzez swój kształt i proporcje, intelektualne znaczenie wyjściowej struktury, nawet jeżeli niektóre detale trzeba będzie oglądać przez

szkło powiększające. Lecz nie wywoła już nawet w przybliżeniu tej samej emocji czy reakcji: jest „nie w skali”. A tym, co definiuje skalę ostatecznej, symbolicznej góry – tej, którą proponuję nazwać Górą Analog<sup>2</sup> – jest jej *niedostępność dla zwykłych ludzkich podejść*. Cóż, Synaj, Nebo i Olimp już dawno stały się tym, co alpinści nazywają „ośłą łączką”; i nawet najwyższych szczytów Himalajów nie uznaje się dziś za niedostępne. Wszystkie te wierzchołki straciły zatem swoją analogiczną istotność. Symbol musiał ukryć się w górach całkowicie mitycznych, jak hinduska Góra Meru. Jednakże, trzymając się tego przykładu, jeśli Meru nie posiada lokalizacji geograficznej, traci swe przekonujące znaczenie jako *droga łącząca Ziemię i Niebo*; nadal może reprezentować środek lub oś naszego układu planetarnego, jednak nie sposób, w który człowiek może ją osiągnąć.

Aby góra mogła pełnić rolę Góry Analog – konkludowałem – *jej wierzchołek musi być niedostępny, lecz jej podstawa dostępna* istotom ludzkim, jak je natura stworzyła. Musi być *jedyna* i musi *istnieć geograficznie*. Wrota do niewidzialnego muszą być widzialne.

To właśnie napisałem. Wzięty dosłownie, mój artykuł faktycznie dawał do zrozumienia, że wierzyłem w istnienie, gdzieś na powierzchni globu, góry znacznie przewyższającej Mount Everest – przeświadczenie, które było, dla każdej tak zwanej sensownej osoby, absurdalne. A tu znalazł się ktoś, kto potraktował mnie na poważnie. Lunatyk? Żartowniś? Ale co ze mną? – pomyślałem nagle; czyż moi czytelnicy nie mieli prawa zadać tych samych pytań mnie, który napisałem ten artykuł? No dobrze, jestem lunatykiem czy żartownisiem? Czy tylko beletrystą? – Cóż, teraz mogę to przyznać, zadając sobie te nieprzyjemne pytania, poczułem, że mimo wszystko *jakaś głęboko ukryta częśćka mnie nieugięcie wierzyła w materialne istnienie Góry Analog*.

Nazajutrz zadzwoniłem pod numer telefonu wskazany na tę godzinę w liście. Bezosobowy kobiecy głos wybąknął szybko – Labora-

---

<sup>2</sup>W oryginale: Mont Analogue.



toria Euryhne – i zapytał, z kim życzę sobie rozmawiać. Po chwili klikania doszedł mnie męski głos.

– Ach! Więc to pan? Szczęściarz z pana, że telefon nie transmittuje zapachu. Czy będzie pan wolny w niedzielę?... W takim razie proszę przyjść do mnie około jedenastej. Przejdziemy się troszkę po moim parku przed obiadem... Słucham? Tak, oczywiście, Passage des Patriarches, dlaczego?... Och! Park? To moje laboratorium. Myślałem, że jest pan alpinistą... Tak? Zatem wszystko ustalone... Do zobaczenia w niedzielę.

Czyli, to nie lunatyk. Lunatyk nie zajmowałby ważnego stanowiska w fabryce perfum. Żartowniś? Ten ciepły i stanowczy głos nie należał do zgrywusa. Było to w czwartek. Trzy dni oczekiwania, przez które ludzie znajdowali mnie bardzo rozkojarzonym.

W niedzielę rano, kopiać pomidory, ślizgając się na skórkach banana, przepychając pomiędzy spoconymi przekupkami, dotarłem na Passage des Patriarches. Wszedłszy przez ganek do budynku, zagadnąłem stróża o korytarze, aż wreszcie przyciągnęły mnie drzwi po drugiej stronie dziedzińca. Zanim je otwarłem, zauważyłem podwójną linę, która zwisała wzdłuż fasady wybrzuszonej się, podniszczonej ściany z okienka na szóstym piętrze. Para sztruksowych bryczesów – na to mi wyglądało z tej odległości – wyłoniła się z tego okienka. Wetknięte były w długie skarpety, znikające w miękkich butach. Osoba o tak odzianych kończynach dolnych, wisząc jedną ręką na okiennym parapecie, owinęła dwie liny pomiędzy nogami, dalej wokół prawego uda, następnie na ukos przez pierś do lewego ramienia, potem na postawionym kołnierzu krótkiej marynarki, a wreszcie w dół przed prawym ramieniem – wszystko to jednym ruchem nadgarstka. Złapał liny poniżej w prawą dłoń, a te ponad sobą w lewą, odepchnął się od ściany stopami i, z wyprostowanym torsem i nogami w rozkroku, opuścił się z prędkością pięciu stóp na sekundę w stylu, który tak dobrze wygląda na fotografiach. Ledwo dotknął gruntu, gdy druga postać wyruszyła po tym samym torze. Ale, dotarłszy do wybrzuszenia na ścianie, ta druga osoba trafiona została w głowę czymś przypomina-

jącym zgniłego ziemniaka, który roztlukł się na bruku poniżej, gdy jednocześnie głos z góry obwieścił gromko – „Żeby się przyzwyczaić do spadających kamieni!” – Mimo to dotarł na dół bez zbytnej dezorientacji, ale nie zakończył swego *rappel de corde*<sup>3</sup> ruchem, który uzasadnia tę nazwę, a który polega na pociągnięciu jednego końca, aby ściągnąć linę. Dwaj mężczyźni odeszli powolnym krokiem odprowadzani zniesmaczonym spojrzeniem portiera. Wszedłszy przez drzwi, pokonałem cztery piętra schodów i napotkałem takie słowa na znaku umieszczonym obok okna:

Pierre Sogol, Profesor Alpinistyki. Lekcje w czwartki i niedziele, od 7 do 11 rano. Sposób dostępu: wyjść przez okno, skręcić w lewo, wejść kominem na gzyms, wspiąć się po kruszejącym spadzie łupkowym, przejść granią z północy na południe, unikając kilku żandar-mów i wejść przez świetlik na wschodnim nachyleniu.

Dobrowolnie poddałem się tym fantazjom, mimo tego że schody wchodziły i na szóste piętro. „Skręt w lewo” był wąskim gzymsem, „komin” ciemną wnęką, która, gdyby ją tylko domknąć stawiając budynek obok, można by nazwać podwórcem; „spad łupkowy” rozpadającym się pokryciem z dachówek, a „żandarmi” kominami zwieńczonymi czapami. Wszedłem przez świetlik i znalazłem się twarzą w twarz z nim samym. Całkiem wysoki, szczupły i energiczny z okazałymi czarnymi wąsami i falowanymi włosami; był w nim spokój pantery zamkniętej w klatce, która tylko czeka na właściwy moment. Spojrzał na mnie spokojnymi, czarnymi oczyma i wyciągnął dłoń.

– Widzi pan, do czego jestem zmuszony, aby zarobić na życie – powiedział. – Wolałbym przyjąć pana w lepszej kwaterze ...

– Myślałem, że pracuje pan w laboratorium perfum – przerwałem.

– Nie tylko. Dorabiam też w fabryce artykułów domowych, sklepie z wyposażeniem biwakowym, laboratorium insektycydów i w firmie foto-grawerskiej. W każdej podejmuję się rzekomo niemożliwych wynalazków. Do tej pory jakoś daję radę, ale ponieważ wiedzą, że nie

---

<sup>3</sup>*rappel de corde* (fr.) – opuszczenie po linie.

mogę wykonywać żadnej innej pracy, płacą mi marnie. Dlatego udzielałam lekcji wspinaczki synom leniwych bogaczy, znudzonym brydżem i podróżami. Proszę się rozgościć i rozejrzeć po moim poddaszu.

Było to w rzeczywistości kilka strychów, których ściany działowe wyburzono, aby stworzyć długie, niskie studio. oświetlone i wietrzone ogromnym oknem na jednym końcu. Pod oknem zgromadzono standardową aparaturę laboratorium fizykochemicznego. Przez studio wiała się usypana z kamyków dróżka, kręta jak ścieżka wrednego muła, a obsadzona krzewami i krzakami w donicach lub skrzyniach, kaktusami, małymi iglakami, karłowatymi palmami i rododendronami. Wzdłuż ścieżki, przyklepione do szyb lub zawieszane na krzakach czy dyndające z sufitu, tak że całe wolne miejsce zostało w pełni wykorzystane, widniały setki tabliczek. Każda opatrzona była rysunkiem, fotografią lub inskrypcją, a całość tworzyła prawdziwą encyklopedię tego, co nazywamy „ludzką wiedzą”. Diagram komórki roślinnej, układ okresowy pierwiastków Mendelejewa, klucze do pisma chińskiego, przekrój ludzkiego serca, wzór na transformację Lorentza, każda z planet i jej własności, uszeregowane skamieniałe szczątki gatunków koni, hieroglify Majów, statystyki ekonomiczne i demograficzne, frazy muzyczne, próbki głównych rodzin roślin i zwierząt, okazy kryształów, plan budowy Wielkiej Piramidy, diagramy mózgu, równania logistyczne, mapy, genealogie – wszystko, mówiąc w skrócie, co wypełniałoby mózg dwudziestowiecznego Pico z Mirandoli<sup>4</sup>.

Tu i tam słoje, akwaria i klatki mieściły ekstrawagancką faunę. Ale gospodarz nie pozwolił mi zatrzymać się dłużej przy jego strzykwach, jego kalmarach, wodnych pająkach, termitach i aksolotlach; powiódł mnie na dróżkę, gdzie ledwo mieściliśmy się obok siebie, chcąc abym przeszedł się z nim po laboratorium. Dzięki lekkiemu, bocznemu przeciągowi i zapachowi drzewek iglastych, miało się wrażenie wspinania po zygzakach niekończącej się górskiej ścieżki.

– Rozumie pan – rzekł do mnie Pierre Sogol – że pan i ja mamy do podjęcia tak ważne decyzje, z tak daleko idącymi konsekwencjami

---

<sup>4</sup>Pico della Mirandola (1463–1494) – włoski filozof, humanista, teolog, filolog, matematyk, astronom, przyrodnik, retor i poeta.

dla naszego życia, że nie możemy zaczynać od szukania po omacku. Będziemy musieli się poznać. Dziś możemy wspólnie spacerować, rozmawiać, jeść i wspólnie milczeć. Później, jak sądzę, będziemy mieć okazję wspólnie działać i cierpieć. Wszystko to jest konieczne, aby „zaznajomić się” jak to mówią.

Rzecz jasna mówiliśmy o górach. Wyprawił się on już na wszystkie najwyższe pasma naszej planety i miałem wrażenie, że, połączeni porządną liną, we dwóch moglibyśmy choćby i tego dnia porwać się na najniebezpieczniejsze podejścia. Wtedy rozmowa skoczyła, odeszła w kilka kierunków i odwróciła się, a ja zacząłem rozumieć użytek uczyniony z tych kawałków tektury, które rozpościerały przed nami wiedzę tego wieku. Wszyscy posiadamy dosyć pokaźną kolekcję takich diagramów i opisów we własnych głowach; ulegamy też iluzji, że „myślimy” wzniosłe naukowe i filozoficzne myśli, gdy, przypadkiem, kilka z nich ułoży się we wzór, który nie wydaje się ani zbyt konwencjonalny, ani zbyt nowatorski. Dzieje się to jakby na skutek przeciągów czy prądów krzyżowych, lub po prostu za sprawą ich własnego ciągłego poruszenia, jak w ruchach Browna przemieszczają się cząsteczki zawieszane w cieczy. Tutaj zaś cały materiał znajdował się widocznie poza nami, nie mogliśmy pomylić go ze sobą. Jak girlandę wieszona na haczykach, my zawiesiliśmy naszą konwersację na tych małych obrazkach, tak że każdy z nas widział mechanizm w umyśle drugiego i swoim własnym z równą jasnością.

Tak jak w całym jego wyglądzie zewnętrznym, była w jego sposobie myślenia pewna osobliwa kombinacja żywiołowej dojrzałości i świeżości dziecka. Ale przede wszystkim, podobnie jak byłem świadomy pracy jego niespokojnych i niesłabnących nóg, byłem świadomy jego myślenia, jak siły równie namacalnej co ciepło, światło czy wiatr. Siła ta zdawała się polegać na wyjątkowej zdolności widzenia idei jako zewnętrznych obiektów i ustanawianiu nowych związków między ideami, które wydawały się zupełnie niezwiązane. Słuchałem – powiedziałbym nawet, że widziałem – jak traktował historię ludzkości jako problem w geometrii opisowej, aby chwilę później mówić o liczbach w kategoriach gatunków zoologicznych. Scalanie i podział komórek

stały się szczególnym przypadkiem rozumowania logicznego, język zaś podlegał tym samym prawom co mechanika niebieska.

Ciężko było mi nadażyć z odpowiedziami i wkrótce poczułem się oszołomiony. Zauważył to i zaczął opowiadać o swym przeszłym życiu.

– Będąc jeszcze dosyć młodym – rzekł – zdażyłem doświadczyć prawie wszystkich rozkoszy i rozczarowań, wszelkiego szczęścia i cierpienia, które mogą się przydarzyć człowiekowi jako zwierzęciu towarzyskiemu. Stratą czasu byłoby opisywanie szczegółów: repertuar możliwych przypadków ludzkiego życia jest raczej ograniczony i zawsze sprowadza się do z grubsza tej samej historii. Dość powiedzieć, że pewnego dnia zostałem sam i w pełni przekonany, że zakończyłem jeden cykl egzystencji. Sporo podróżowałem, studiowałem wiele nieprawdopodobnych nauk, wyuczyłem się kilkunastu zawodów. Życie potraktowało mnie trochę tak, jak organizm traktuje ciało obce: wyraźnie starało się mnie otorbić lub wydalić, a i ja ze swojej strony pragnałem „czegoś innego”. Po pewnym czasie znalazłem to „coś innego” w religii. Wstąpiłem do klasztoru. Do bardzo dziwnego. Jego nazwa i położenie niczego nie tu zmienia; ale, delikatnie mówiąc, należał do wyraźnie heretyckiego zakonu.

– W szczególności, w regule zakonu znajdował się dziwaczny zwyczaj. Każdego ranka nasz Przeor<sup>5</sup> dawał każdemu – a było nas około trzydziestu – dwukrotnie złożoną karteczkę. Jedna z tych karteczek głosiła: TU HODIE<sup>6</sup>, i tylko Przeor wiedział, komu przypadła. Do tego podejrzewam, że w niektóre dni wszystkie karteczki były puste, ale jako że nikt tego nie wiedział, rezultat był, jak pan zobaczy, ten sam. „Dziś twoja kolej” – oznaczało, że tak wyznaczony brat, w tajemnicy przed pozostałymi, grać miał rolę „Kusiciela” przez cały ten dzień. Wśród pewnych plemionach afrykańskich, i nie tylko, byłem świadkiem zupełnie okropnych rytuałów, jak ofiary z ludzi czy obrządki kanibalistyczne. Jednak w żadnej sekcje religijnej czy praktyce czarowniczej nie spotkałem obyczaju tak okrutnego jak instytucja powszedniego Kusiciela. Czy może pan sobie wyobrazić

---

<sup>5</sup>W oryginale: Supérieur.

<sup>6</sup>*Tu hodie* (łac.) – dzisiaj ty.

trzydziestu mężczyzn wiodących życie we wspólnocie, na wstępie już pół-oszalałych przez nieustający strach przed grzechem, patrzących jeden na drugiego z opętańczą świadomością, że jeden z nich, nie wiadomo kto, został specjalnie zobowiązany do przetestowania ich wiary, ich pokory i miłości bliźniego? Było to jak diaboliczna karykatura wielkiej idei – tej idei, że w moim bliźnim, tak jak we mnie samym, istnieje zarówno osoba godna nienawiści jak i osoba godna miłości.

– Bo jeden fakt dowodzi mi szatańskiego charakteru tego zwycaju: ani jeden z braci nie odmówił nigdy pełnienia roli Kusiciela. Żaden, gdy wręczono mu *Tu hodie*, nie miał cienia wątpliwości, że był zdolny i godny odgrywać tę rolę. Kusiciel sam był ofiarą potwornego kuszenia. Kilka razy, z posłuszeństwa zakonowi, ja również zgodziłem się na rolę *agent provocateur*<sup>7</sup>; jest to najwstydlivsze wspomnienie mojego życia. Zgadzałem się, aż pewnego zorientowałem się, w jaką pułapkę wpadłem. Do tego momentu zawsze udawało mi się zde-maskować Szatana na służbie. Byli tacy naiwni i zawsze używali tych samych sztuczek, biedacy. Całe ich podejście opierało się na wariacjach na kilku fundamentalnych kłamstwach, które każdy znał, takich jak: „Przestrzeganie zasad co do litery jest dla imbecyli, którzy nie rozumieją ich ducha” albo: „Z moim zdrowiem, niestety, nie mogę sobie pozwolić na takie trudy”.

– Pewnego razu jednak diabłowi dyżurnemu udało się mnie usidlić. Tego dnia był nim wielgachny, jakby z gruba wyciosany, wesolek o błękitnych oczach niemowłęcia. Podszedł do mnie w czasie wolnym od pracy. „Widzę, że mnie rozpoznałeś – powiedział. – Nie da rady cię zwieść; jesteś za uważny. Tak czy siak, nie potrzebujesz tej przedszkolnej gry, żeby się zorientować, że pokusy są wiecznie wokół nas, lub raczej w nas. Ale pomyśl tylko o niezmiernym lenistwie człowieka; wszystkie sztuki mające rozbudzać i wzmacniać uważność ostatecznie usypiają go. Nosimy włosienicę jak się nosi monokl; śpiewamy jutrznie tak jak inni grają w golfa. Gdyby tylko dzisiejsi naukowcy, zamiast ciągle wynajdywać sposoby na ułatwienie życia, poświęcili swoją pomysłowość na tworzenie narzędzi mogących wyrwać ludzi z

---

<sup>7</sup>*Agent provocateur* (fr.) – agent prowokator.

ich otępienia! Są oczywiście karabiny maszynowe, ale to już lekka przesada. . .”

– Mówił tak przekonująco, że tego samego wieczora uzyskałem od Przeora pozwolenie na poświęcenie mojego wolnego czasu na wymyślanie i konstruowanie takich przyrządów. Mój mózg opanowała gorączka. Natychmiast wynalazłem kilka odrażających urządzeń: pióro dla biegłych pisarzy, które przyskało lub plamiło co pięć lub dziesięć minut; mały, przenośny fonograf, wyposażony w słuchawkę jak ta w aparatach dla głuchych, a który wykrzykiwał w najmniej spodziewanych momentach: „Za kogo ty się uważasz?”; pneumatyczną poduszkę, która nazwałem „miękką poduszką wątpliwości”, która flaczała niespodziewanie pod głową śpiącego; lustro, którego krzywizna była zaprojektowana – a ile się przy tym nabiedziłem – tak, żeby odbijać każdą ludzką twarz jako świńską głowę. Było ich wiele więcej. Tak byłem zajęty pracą, że nie miałem czasu na rozpoznawanie kusicieli. Dobrze się bawili podpuszczając mnie. Aż pewnego ranka otrzymałem *Tu hodie*. Pierwszym napotkanym bratem był ten dragal o błękitnych oczach. Przywitał mnie z podejrzliwym uśmiechem, który sprowadził mnie na ziemię. Naraz zrozumiałem dziecinność moich wynalazków i haniebność roli, którą miałem odgrywać. Łamiąc wszelkie zasady, odszukałem Przeora i oznajmiłem mu, że nie mogę dłużej godzić się na „robienie za Diabła”. Odniósł się do mnie z umiarkowaną surowością, być może szczerą, być może profesjonalną, „Mój synu – skonkludował – widzę, że jest w tobie *nieuleczalna potrzeba zrozumienia*, która nie zezwala pozostać ci dłużej w tym domu. Będziemy modlić się do Boga, aby powołał cię do Siebie inną drogą.”

– Tej nocy wsiadłem w pociąg do Paryża. Wstąpiłem do klasztoru jako Brat Petrus<sup>8</sup>. Opuszczałem go z tytułem Ojca Sogola i zachowałem ten pseudonim. Pozostali mnisi nazwali mnie tak przez mentalny nawyk, który kazał mi odwracać, przynajmniej na próbę, każde przedstawione mi stwierdzenie, zamieniać skutek i przyczynę, zasadę i konsekwencję, sedno i przypadek. „Sogol” to raczej dziecinny anagram i cokolwiek pretensjonalny. Ale potrzebowałem dobrze

---

<sup>8</sup>*Petrus*, czyli francuski Pierre.

brzmiącego nazwiska, a to kojarzyło mi się ze sposobem myślenia, którzy dobrze mi służył. Dzięki mej naukowej i technicznej wiedzy szybko znalazłem prace w różnych laboratoriach i fabrykach przemysłowych. Powolutku dostosowałem się znowu do współczesnego życia, lecz jedynie zewnątrz, to prawda, gdyż w głębi duszy nie mogę się przekonać do tej bieganiny w małpiej klatce, którą ludzie z dramatyзмом nazywają życiem.

Zabrział dzwonek.

– Dobrze, moja Fyzyko, już dobrze! – krzyknął Ojciec Sogol. I wyjaśnił mi – Podano obiad. Chodźmy więc.

Poprowadził mnie poza drózkę i z gestem obejmującym całą współczesną ludzką wiedzę wypisaną na małych prostokątach przed naszymi oczyma, powiedział poważnym głosem:

– Fałszywki, wszystko to fałszywki. O żadnej z tych fiszek nie mogę powiedzieć: oto prawda, choćby i niewielka, ale niepodważalna prawda. Cały ten pokaz to zagadki<sup>9</sup> i błędy. Gdzie kończy się jedno, tam zaczyna drugie.

Przeszliśmy do małego pokoju, całego białego, gdzie zastawiono stół.

– Za to tutaj przynajmniej – powiedział – mamy coś *względnie rzeczywistego*, jeżeli można zaryzykować połączenie tych dwóch słów bez wywołania eksplozji. – Usiedliśmy naprzeciw siebie nad jedną z tych wyśmienitych wiejskich potrawek, w których każde sezonowe warzywo oplata swoim aromatem kawałek gotowanego mięsa. – Moja droga Fyzyka nadal musi używać całej swej starobretońskiej sztuki, aby skomponować na mój stół posiłek bez siarczanu baru, bez żelatyny, bez kwasu borowego ani siarkowego, bez formaldehydu i bez pozostałych chemikaliów używanych dziś w przemyśle spożywczym. Dobra potrawka warta więcej niż fałszywa filozofia.

Jedliśmy w milczeniu. Mój gospodarz nie czuł potrzeby rozmawiania przy jedzeniu i byłem mu za to wdzięczny. Nie bał się zachować ciszy, gdy nie było nic do powiedzenia, ani zastanowić zanim się odezwał. Przedstawiając teraz naszą rozmowę, obawiam się, że można

---

<sup>9</sup>W oryginale: *Mysteré*.



odnieść wrażenie, iż rozwodził się bez końca; w rzeczywistości jego opowieści i wyznania przerywane były długimi pauzami, a i ja odzywałem się dosyć często. Co do chwil ciszy, jakże można je oddać słowami? Potrafiłaby to tylko poezja.

Po obiedzie wróciliśmy do „parku” pod oknem i rozciągnęliśmy się na dywanach i skórzanych poduszkach: jest to prosty sposób na to, aby pomieszczenie o niskim suficie wydało się obszerniejsze. Fizyka przyniosła cicho kawę, a Sogol zaczął znowu mówić.

– Wypełnia to mój żołądek, ale niewiele więcej. Odrobina pieniędzy w tej naszej galopującej cywilizacji można sobie łatwo zapewnić podstawowe fizyczne wygody. Reszta to blaga. Blaga, bujda i bubel<sup>10</sup> – oto nasze całe życie, od przepony po czaszkę. Mój Przeor dobrze to ujął: cierpię na nieuleczalną potrzebę zrozumienia. Nie chcę umierać, nie rozumiawszy, dlaczego żyłem. A pan, bał się pan kiedyś śmierci?

W milczeniu przetrząsałem wspomnienia, głębokie wspomnienia, gdzie słowa dotąd nie docierały. Wreszcie odparłem z trudem:

– Tak. Gdy miałem około sześciu lat, usłyszałem coś o muchach, które gryzą, kiedy się śpi. I oczywiście ktoś dorzucił stary dowcip: „A gdy się człek budzi, już jest martwy.” Te słowa nie dawały mi spokoju. Tej nocy leżąc w łóżku po zgaszeniu świateł, próbowałem sobie wyobrazić śmierć, „brak czekogolwiek”. W swej wyobraźni pozbyłem się wszelkich zewnętrznych aspektów mego życia i poczułem się uwięziony w coraz ciaśniejszych kręgach niepokoju: nie było już żadnego „mnie”... Co to znaczy „ja”? Nie mogłem tego pojąć. „Ja” wyslizgnęło się moim myślom jak ryba z rąk ślepcy i nie byłem w stanie zasnąć. Przez trzy lata noce dociekań w ciemności wracały dosyć często. Aż w jedną z nich przyszedł mi do głowy cudowny pomysł: zamiast znośić tę udrękę, spróbować ją zaobserwować, zobaczyć skąd przychodzi i czym jest. Odczułem, że wszystko zdawało się wydobywać z jakiegoś napięcia w brzuchu i pod żebrami, a także w gardle. Przypomniałem sobie, że miałem skłonność do anginy i zmusiłem do rozluźnienia, szczególnie brzucha. Trwoga zniknęła. Gdy spróbowałem znowu,

---

<sup>10</sup>Nieprzetłumaczalna gra słów: Du toc, des tics et des trucs. (Szachrajstwo, szwindel i szajs?)

w tym nowym stanie, myśleć o śmierci, zamiast zaciskających się pazurów strachu opanowało mnie zupełnie nowe uczucie. Nie wiedziałem jak je nazwać, ale miało w sobie coś z tajemnicy i nadziei.

– A potem dorósł pan, poszedł do szkoły i zabrał się za filozofię, czyż nie? Wszyscy to przechodzimy. Wygląda na to, że gdy dorastamy, nasze życie wewnętrzne słabnie, odarte ze swej naturalnej odwagi. Nie ważymy się już stawać twarzą w twarz z rzeczywistością i tajemnicą; widzimy je przez pryzmat „dorosłych”, książek, wykładów i profesorów. Jednak pozostaje jakiś głos nie do końca stłumiony, który niekiedy protestuje – gdy tylko nieoczekiwany wstrząs na wyboju egzystencji poluzuje mu knebel. Głos ten wykrzykuje swe wielkie pytania, lecz szybko tłamsimy go znowu. Cóż, już się trochę rozumiemy. Mogę wyznać, że boję się śmierci. Nie tego co sobie *wyobrażamy* o śmierci, bo taki strach sam jest urojony. Ani też nie śmierci, której data zostanie zapisana w rejestrze stanu cywilnego. Ale tej śmierci, której doznaje każdej chwili, śmierci głosu, który, z głębin mojego dzieciństwa, i mnie również zapytuje: „Kim jestem?” Wszystko wokół i w nas jakby zmówiło się, aby zadusić go raz na zawsze. Gdy głos ten nie odzywa się – a nie odzywa się często! – jestem pustym ciałem, ruchomym truchłem. Obawiam się, że któregoś dnia zamilknie na zawsze, lub że odezwie się za późno – jak w pana historii z muchami: gdy się człek budzi, jest już martwy.

– I otóż to!<sup>11</sup> – obwieścił prawie porywczo. – Powiedziałem panu, w czym sedno. Cała reszta to detale. Czekałem od lat, żeby wszystko to komuś wyjawić.

Usiadł, a ja zdałem sobie sprawę, że ten człowiek musiał mieć umysł ze stali, aby opierać się kipiącemu w nim opętaniu. Był teraz nieco rozluźniony, jakby mu ulżyło.

– Jedyne dobre chwile – kontynuował, zmieniawszy pozycję – przychodziły latem, gdy wyciągałem moje raki, plecak i czekan i wyprawałem się w góry. Nie miałem nigdy długich wakacji, ale korzystałem z nich w pełni! Po dziesięciu czy jedenastu miesiącach ulepszania odkurzaczy czy syntetycznych perfum, po nocy w pociągu i całym

---

<sup>11</sup>W oryginale: Et voilà!

dniu w autobusie, kiedy przybywałem wreszcie z mięśniami jeszcze zgnuśniałymi od trucizny miasta – cóż, pierwsze pole śniegu wystarczało nieraz bym zapłakał jak głupiec, z pustą głową, na chwiejnych nogach i z otwartym sercem. Kilka dni później, wciśnięty w szczelinę lub okrakiem na grani, rozpoznawałem w sobie osoby, których nie widziałem od poprzedniego lata. Lecz, koniec końców, były to zawsze te same osoby.

– Otóż, tak jak pan, przez lekturę i podróże, dowiedziałem się o wyższym rodzaju człowieka, posiadającego klucze do wszystkiego, co jest dla nas zagadką. Tej idei ludzkości niewidzialnej, we wnętrzu ludzkości widzialnej, nie byłem w stanie potraktować jedynie jako alegorii. Doświadczenie pokazuje, mówiłem sobie, że człowiek nie może osiągnąć prawdy bezpośrednio ani w pojedynkę. Konieczna jest obecność pośrednika, siły jeszcze ludzkiej w pewnych aspektach, ale wychodzącej poza ludzkość w innych. Gdzieś na naszej Ziemi ta wyższa forma ludzkości musi istnieć, i nie poza naszym zasięgiem. Czy zatem cały mój wysiłek nie powinien być poświęcony na odkrycie jej? Nawet gdybym, wbrew mojej pewności, padł ofiarą potwornej iluzji, niczego nie stracę próbując. Bowiem, oprócz tej nadziei, całe życie straciło dla mnie sens.

– Ale gdzie szukać? Gdzie miałbym zacząć? Przemierzyłem już świat, wtykałem nos wszędzie, w najróżniejsze religijne sekty i mistyczne kultury, ale zawsze stawałem przed dylematem: może tak, może nie. Dlaczego miałbym postawić swoje życie na ten, a nie na inny? Rozumie pan, nie miałem probierza. Ale fakt, że jest nas *dwóch*, wszystko zmienia. Zadanie nie staje się *dwa razy* prostsze, o nie: z *niemożliwego* staje się *możliwe*. To jak gdyby, aby zmierzyć odległość z jakiejś gwiazdy do naszej planety, dał mi pan *jeden* znany punkt na powierzchni globu: taki rachunek jest niewykonalny; ale proszę tylko dodać drugi punkt, a stanie się możliwe, bo będę mógł skonstruować trójkąt.

Ten nagły przeskok do geometrii był do niego podobny. Nie wiem, czy dobrze go zrozumiałem i dowiedziałem się później, że w jego rozumowaniu był drobny błąd. Ale była w nim siła, która mnie

przekonała.

– Pański artykuł o Górze Analog oświecił mnie – podjął. – To miejsce istnieje. Obaj to *wiemy*. A zatem odkryjemy je. Gdzie? To kwestia rachunków. Za kilka dni, obiecuję, ustale jego położenie geograficzne z dokładnością do kilku stopni. I wyruszymy natychmiast, prawda?

– Tak, ale jak? Którą trasą, jakim środkiem transportu, za jakie pieniądze i na jak długo?

– To wszystko detale. Ponadto, jestem pewien, że nie będziemy sami. Dwóch przekona trzeciego, a dalej to jak ze śnieżną kulą – choć będzie się trzeba liczyć z tym, co ludzie nazywają „chłopskim rozumem”, biedni. Na chłopski rozum woda powinna płynąć... dopóki jej nie doprowadzić do wrzenia na ogniu albo nie zamrozić w lodówce. A jeśli nie będzie ognia, będziemy kuć żelazo, aż się rozgrzeje. Zorganizujmy tu pierwsze spotkanie w przyszłą niedzielę. Mam pięciu czy sześciu dobrych znajomych, na których mogę polegać. Jeden jest w Anglii, a dwóch w Szwajcarii, ale stawia się. Uzgodniliśmy między sobą, że nie podejmiemy się większej ekspedycji bez pozostałych. A co jak co, ale to będzie wielka ekspedycja.

– Mnie również przychodzi do głowy kilka osób, które mogłyby się do nas przyłączyć.

– Proszę je zaprosić na godzinę czwartą, ale samemu przyjść wcześniej, około drugiej. Moje obliczenia będą gotowe... Więc musi mnie Pan już opuścić? Dobrze, oto wyjście – powiedział, wskazując okienko, z którego wisiał *corde de rappel*. – Tylko Fizyka używa schodów. Do widzenia!

Owinałem się liną, która pachniała trawą i stajnią, i dotarłem na dół w kilka chwil. Z uczuciem wyobcowania znalazłem się na ulicy, ślizgając się skórkach banana, kopiąc pomidory i przepychając pomiędzy spoconymi przekupkami.

Gdybym, w drodze powrotnej z Passages des Patriarches do mojego mieszkania na Saint-Germain-des-Prés, przyjrzał się sobie jak przezroczystemu nieznanemu, odkryłbym jedno z praw rządzących zachowaniem „nieopierzonych istot dwunożnych niezdolnych pojąć

liczby  $\pi$ <sup>12</sup> – zgodnie z definicją, którą Ojciec Sogol nadał gatunkowi, do którego on, czytelniczka i ja należymy. Prawo to można by ująć jako: rezonans z najbliższymi stwierdzeniami. Przewodnicy na Górze Analog, którzy wyjaśnili mi to później, nazywali to po prostu *prawem kameleona*. Ojciec Sogol naprawdę mnie przekonał, a podczas gdy ze mną rozmawiał, byłem gotów podążyć za nim na tę szaleńczą ekspedycję. Ale, w miarę jak zbliżałem się do domu, gdzie odnalazłbym wszystkie moje stare nawyki, wyobrażałem sobie kolegów z biura, znajomych pisarzy i mych przyjaciół, słuchających opowieści o zdumiewającej konwersacji, którą właśnie odbyłem. Mogłem sobie wyobrazić ich sarkazm, ich sceptycyzm i ich politowanie. Zacząłem podejrzewać się o naiwność i łatwowierność do tego stopnia, że gdy próbowałem opowiedzieć mej żonie o spotkaniu z Ojcem Sogolem, złapałem się na używaniu wyrażen typu „dziwny pocziwina”, „odprawiony mnich”, „zwariowany wynalazca”, „ekstrawagancki projekt”. . . Tak że wprawiło mnie w osłupienie to, co powiedziała, kiedy skończyłem: – No ma człowiek rację. Dziś wieczorem zacznę pakować walizkę. Bo nie jest was tylko dwóch. Jest nas już troje!

– Więc bierzesz to na poważnie?

– To pierwszy poważny pomysł jaki w życiu słyszałam.

A moc prawa kameleona jest tak wielka, że ponownie uznałem, iż przedsięwzięcie Ojca Sogola było w istocie całkowicie rozsądne.

Tak narodził się plan wyprawy na Górę Analog. Teraz, gdy już zacząłem, będę musiał dokończyć: jak dowiedziono, że nie odkryty dotąd kontynent naprawdę istniał, z górami wyższymi od Himalajów; jak to się stało, że nikt go wcześniej nie wykrył; jak do niego dotarliśmy; jakie istoty tam spotkaliśmy; jak inna ekspedycja, dążąca do zgoła innego celu, ledwo uniknęła zagłady; jak zaczęliśmy powoli zapuszczać korzenie, by tak rzec, w tym nowym świecie; i jak, mimo to, podróż dopiero się rozpoczęła. . .

W górze i daleko na niebie, ponad i poza kolejnymi kręgami wynio-

---

<sup>12</sup>Nawiązanie do definicji człowieka podanej przez Platona, a obszmianej przez Diogenesa z pomocą oskubanej kury.

słych szczytów pokrytych coraz bielszymi śniegami, w splendorze nie do zniesienia dla ludzkich oczu, niewidzialny przez nadmiar światła, wznosi się wierzchołek Góry Analog.

Tam, na wierchu szpiczastym bardziej niż najcieńsza igła,  
Ten, który wypełnia wszelką przestrzeń, pozostaje w sobie.  
Wysoko, w rzadkim powietrzu, gdzie wszystko zamarza na kamień,  
Przebywa jedynie nieodmienny, doskonały kryształ.  
W górze, wystawiony na ogień firmamentu, który spopiela wszystko,  
Przebywa wiekuisty żar.  
Tam, w środku całego stworzenia, jest ten,  
Który widzi stawanie się każdej rzeczy, jej początek i koniec.

Oto co śpiewają tam wysoko ludzie z gór. Tak właśnie jest.

Mówisz, że tak właśnie jest;  
Ale gdy trochę zziębiesz, twe serce zamienia się w kreta;  
Gdy ci trochę za gorąco, głowę twą wypełnia bzyk much;  
Kiedy głodniejesz, twe ciało robi się nieużyte, jak uparty muł;  
Gdyś zmęczony, własne stopy z ciebie drwią.

To inna piosenka, którą ludzie z gór śpiewają, podczas gdy ja piszę  
i gdy głowie się, jak opowiedzieć tę historię, aby przynajmniej wydała  
się wiarygodna.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### KTÓRY JEST TYM O ZAŁOŻENIACH

*Przedstawienie gości – Sztuczka oratorska – Postawienie problemu – Hipotezy nie do utrzymania – Do granic absurdu – Nie-euklidesowa nawigacja na talerzu – Uznani astronomowie – Jak Góra Analog istnieje, niejako nie istniejąc – Nowe spojrzenie na prawdziwą historię czarnoksiężnika Merlina – O metodzie w inwencji – Brama słoneczna – Wyjaśnienie geograficznej anomalii – Środek łądów – Delikatny rachunek – Odkupiciel miliardów – Poetycki dezenter – Przyjazny dezenter – Pretensjonalny dezenter – Filozoficzny dezenter – Środki ostrożności*

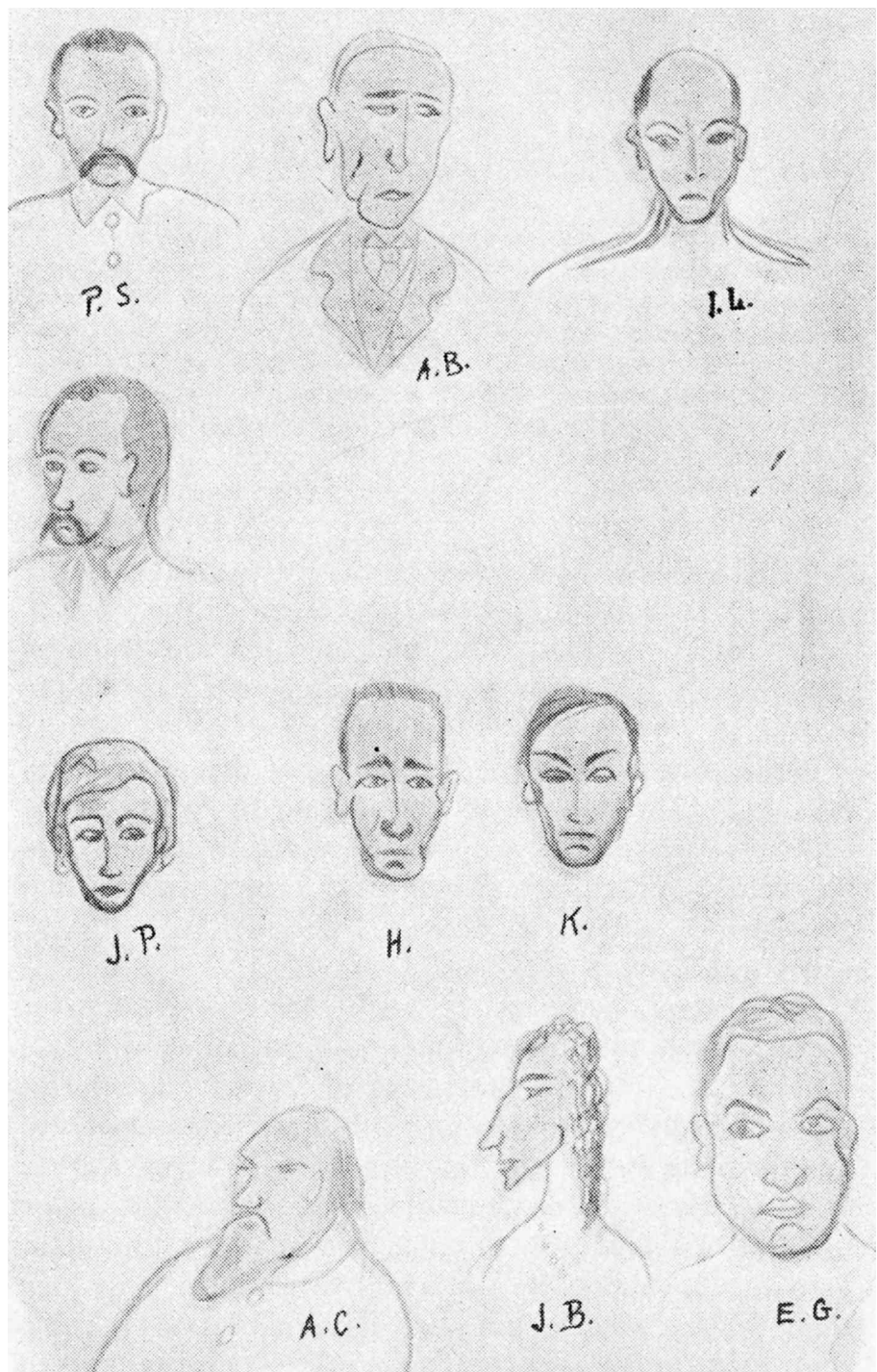
**N**ASTĘPNEJ niedzieli o drugiej po południu zabrałem żonę do laboratorium na Passage des Patriarches i, po pół godzinie, tworzyliśmy we troje grupę, dla której niemożliwe nie istniało.

Ojciec Sogol prawie zakończył swe tajemnicze obliczenia, ale odłożył przedstawienie ich na trochę później, gdy mieli być obecni już wszyscy. W międzyczasie postanowiliśmy wymienić się opisami osób, które zaprosiliśmy.

Moimi gośćmi byli, jak następuje:

IVAN LAPSE, między 35 a 40 lat, Rosjanin fińskiego pochodzenia i wyjątkowy lingwista. Wyjątkowy przede wszystkim wśród lingwistów przez zdolność wyrażania się w mowie i na piśmie z prostotą, elegancją i bezbłędnie, na dodatek w trzech czy czterech różnych językach. Autor *Języka języków* oraz *Gramatyki porównawczej języków gestów*. Mały, błądy mężczyzna z wydłużoną głową, łysy na czubku i okolony czarnymi włosami, długie, skośne, czarne oczy, płaskie rysy i lekko smutne usta. Doskonały glaciarysta<sup>13</sup>, ze słabością do biwaków wysokogórskich.

<sup>13</sup>W oryginale: glaciariste – domyślamy się, że chodzi o wspinacza, nie geologa.





ALPHONSE CAMARD, Francuz, 50 lat, uznany i płodny poeta, brodaty, korpulentny, o manierze letargicznej, trochę jak u Verlaine'a, nadrabiający pięknym, ciepłym głosem. Dolegliwość wątroby nie pozwalała mu na dłuższe podejścia i pocieszał się, pisząc wiersze o górach.

ÉMILE GORGE, Francuz, 25 lat, dziennikarz, przyziemny i przy-  
milny, pasjonujący się muzyką i choreografią, na które to tematy błyskotliwie pisał. Wirtuoz *rappel de corde*, wołający zejścia od wspina-  
nia.

JUDITH PANCAKE wreszcie, przyjaciółka mej żony, Amerykanka, około trzydziestki, malarka gór. Mało tego, to jedyna znana mi prawdziwa malarka wysokich gór. Rozumie, że widok z wyniosłego szczytu nie wpisuje się w te same ramy percepcji co martwa natura czy zwy-  
czajny pejzaż. Jej obrazy zachwycająco wyrażają kolistą strukturę przestrzeni wyższych regionów. Nie uważa się za artystkę. Maluje po prostu „na pamiątkę” swych wspinaczek. Ale czyni to z taką artystyczną dbałością, że jej obrazy, z ich zakrzywioną perspektywą, uderzająco przypominają freski, w których dawni malarze religijni starali się przedstawić koncentryczne kręgi świata niebiańskiego.

Ojciec Sogol podał taki opis swoich gości:

ARTHUR BEAVER, między 45 a 50 lat, lekarz; żeglarz i alpinista, a zatem Anglik; zna łacińskie nazwy, zwyczaje i własności wszystkich zwierząt i roślin w głównych pasmach gór na Ziemi. Naprawdę szczęśliwy będzie jedynie na wysokości co najmniej 15000 stóp. Zabronił mi wyjawiać jak długo i w jaki sposób przebywał na jednym ze szczytów himalajskich, ponieważ, jak powiedział, „jako doktor, dżentelmen i prawdziwy alpinista, unika sławy jak zarazy”. Miał duże, kościste ciało, złoto-srebrne włosy jaśniejsze od opalonej twarzy, brwi zacze-  
pione wysoko i wargi, które falowały subtelnie między naiwnością a ironią.

HANS i KARL, dwaj bracia – nigdy nie używało się ich nazwiska – odpowiednio około 25 i 28 lat, Austriacy, specjaliści od wspinaczki akrobatycznej. Obydwaj blondyni, ale pierwszy pokroju owalnego, a drugi prostokątnego. Świetnie zbudowani, z palcami ze stali i

oczami jak orły. Hans studiował fizykę matematyczną i astronomię. Karl interesował się przede wszystkim metafizyką orientalną.

Arthur Beaver, Hans i Karl byli tą trójką przyjaciół, o której Sogol wspomniał, że tworzyła z nim nierozłączną drużynę wysokogórską.

JULIE BONASSE, między 25 a 30 lat, Belgijka, aktorka, odnosiła wówczas spore sukcesy na scenach Paryża, Brukseli i Genewy. Była powierniczką całej chmary rozchwianej młodzieży, którą kierowała na ścieżki wyższej duchowości. Mówiła „ubóstwiałam Ibsena” i „ubóstwiałam eklerki z czekoladą” równie przekonującym tonem, od którego aż ślinka ciekła. Wierzyła w istnienie „lodowych wrózek”, a w zimie jeździła dużo na nartach po stokach z kolejką linową.

BENITO CICORIA, około trzydziestki, krawiec damski z Paryża, mały, szykowny, zwolennik Hegla. Choć urodzony we Włoszech, należał do nurtu alpinistyki, który – *grosso modo*<sup>14</sup> – możemy nazwać „Szkolą niemiecką”. Jej podejście można by opisać tak: atakujemy najbardziej stromą ścianę góry, przez najpaskudniejszą rozpadlinę, pod najcięższym obstrzałem spadających głazów, a na szczyt wspinamy się w linii prostej bez zwracania uwagi na wygodniejsze obejścia po lewej czy prawej. Zazwyczaj się ginie, ale od czasu do czasu jakaś ekipa narodowa dociera na szczyt żywa.

Łącznie z Sogolem, moją żoną i mną było to dwanaście osób.

Goście przybyli mniej więcej na czas. To znaczy, spotkanie ustalono na czwartą, pan Beaver dotarł pierwszy o trzeciej pięćdziesiąt pięć, a Julie Bonasse, ostatnia z przybyłych, choć zatrzymana przez próbę, pojawiła się ledwo gdy wybiło pół do piątej.

Gdy ucichła wrzawa prezentacji, usiedliśmy dookoła wielkiego blatu ustawionego na kozłach, a gospodarz zabrał głos. Powtórzył w ogólnym zarysie rozmowę, którą odbył ze mną, potwierdził swe przekonanie o istnieniu Góry Analog i oznajmił, że zamierza zorganizować ekspedycję, aby ją zbadać.

– Większość z was – kontynuował – wie już, jak udało mi się zawęzić obszar poszukiwań w pierwszym przybliżeniu. Ale dwie czy trzy osoby nie są jeszcze na bieżąco. Dla nich więc i dla odświeżenia

<sup>14</sup>*Grossō modō* (łac.) – z grubsza.

pamięci pozostałych, powtórzę mój wywód.

W tym momencie posłał mi spojrzenie zarazem szelmowskie i władcze, domagając się mego udziału w tym zręcznym kłamstwie. Ponieważ, rzecz jasna, nikt nie był na bieżąco. Ale, dzięki temu prostemu zabiegowi, każdemu zdawało się, że tworzy część niewtajemniczonej mniejszości, będąc jednym z „dwóch czy trzech nie na bieżąco”,



wierząc że otacza go przekonana większość i nie mogąc się doczekać aż sam zostanie przekonany. Ta metoda Sogola, aby zwinąć, jak mi później powiedział, „publiczność do kieszeni”, była prostym zastosowaniem – mówił – matematycznego podejścia polegającego na „uznaniu problemu za rozwiązany”; tudzież, przeskakując do chemii, „reakcji łańcuchowej”. A jeśli tego wybiegu użyto w służbie prawdy, czy nadal godziło się nazwać go kłamstwem? W każdym razie wszyscy nadstawili uszu.

– Podsumuję założenia – powiedział. – Po pierwsze, Góra Analog musi być wyższa niż najwyższe znane obecnie góry. Jej wierzchołek musi być niedostępny przy użyciu znanych dotąd sposobów. Ale po drugie, jej podstawa musi być dla nas dostępna, a jej niższe partie muszą być już zamieszkałe przez istoty ludzkie podobne nam, gdyż jest ona drogą, która łączy nasze aktualne ludzkie królestwo z regionami wyższymi. Zamieszkałe, a więc zamieszkiwalne. Czyli cechujące się zbiorem własności klimatycznych, flory, fauny i wpływów kosmicznych wszelkiego rodzaju, niezbyt różnym od środowisk naszych kontynentów. Jako że sama góra jest skrajnie wysoka, jej podstawa musi być wystarczająco rozległa, aby ją podtrzymywać; mamy do czynienia z powierzchnią co najmniej tak dużą jak największe wyspy naszego globu – Nowa Gwinea, Borneo, Madagaskar lub nawet Australia.

– Jeśli zgadzamy się co do tego, powstają trzy pytania: W jaki sposób to terytorium uszło uwagi odkrywców i podróżników? Jak się tam dostać? Gdzie się znajduje?

– Odpowiem najpierw na pierwsze pytanie, które może wydawać się najtrudniejszym. Jak to? Mogłaby istnieć na naszej Ziemi góra wyższa niż najwyższe szczyty Himalajów, a której nikt dotąd nie zauważył? Jednakże wiemy *a priori*, na mocy prawa analogii, że musi ona istnieć. Aby wyjaśnić, dlaczego jej ciągle nie zauważono, można podać kilka hipotez. W pierwszej kolejności, że może znajdować się na kontynencie południowym, ciągle jeszcze słabo poznanym. Ale gdy wziąć mapę punktów, do których dotarto na tym kontynencie, i wyliczyć za pomocą prostej geometrycznej konstrukcji przestrzeń, którą ludzkie oko zdolne jest objąć z tych punktów, można pokazać, że żadne wzniesienie powyżej 8000 metrów nie uszło uwagi – ani tam, ani w żadnym innym rejonie planety.

Ten argument wydał mi się, z punktu widzenia geografii, raczej dyskusyjny. Ale na szczęście nikt nie zauważył. On zaś kontynuował:

– Czy mamy zatem do czynienia z górą podziemną? Pewne legendy, opowiadane głównie w Mongolii i Tybecie, napomykają o podziemnej górze, siedzibie „Króla Świata”, gdzie starożytna wiedza przechowywana jest jak niezniszczalne nasiono. Ale takie królestwo

nie odpowiada drugiemu z warunków istnienia góry; nie zapewnia biologicznego otoczenia dostatecznie bliskiego naszemu zwykłemu środowisku; a nawet jeśli ten podziemny świat istnieje, prawdopodobnie położony jest właśnie w zboczach Góry Analog. Skoro wszelkie hipotezy tego rodzaju upadają, musimy postawić problem inaczej. Obszar, którego szukamy, musi być w stanie *istnieć w jakimkolwiek rejonie* na powierzchni Ziemi; należy zatem zbadać, w jakich warunkach pozostaje niedostępny nie tylko dla statków, samolotów i innych pojazdów, ale również dla oka. Chcę powiedzieć, że równie dobrze mógłby, *teoretycznie*, istnieć *na środku tego stołu*, a my nie mielibyśmy o tym najmniejszego pojęcia.

– Dla lepszego zrozumienia, pozwolę sobie przedstawić demonstrację analogiczną do tego, co powinno się dzieć.

Poszedł do pokoju obok poszukać talerza, który położył na stole, i do którego nalał oleju. Porwał kawałek papieru na drobne strzępki i rozsypał je na powierzchnię cieczy.

– Użyłem oleju, bo dzięki wysokiej lepkości lepiej oddaje istotę rzeczy niż, przykładowo, woda. Powierzchnia oleju niech będzie powierzchnią Ziemi. Ten skrawek to kontynent; a ten mniejszy – statek. Końcem igły popchnę teraz statek w kierunku kontynentu. Jak widać, nie udaje mu się przybić do brzegu. Gdy tylko zbliży się na kilka milimetrów, pierścień oleju wokół kontynentu odpycha go. Oczywiście, popychając mocniej, mogą je zetknąć. Ale gdyby napięcie powierzchniowe cieczy było dostatecznie wysokie, mój statek opłynąłby kontynent bez dotknięcia go. Załóżmy teraz, że ta niewidzialna struktura oleju wokół kontynentu odpycha nie tylko ciała zwane *materialnymi*, ale również promienie światła. Nawigator na statku pozęgluje naokoło kontynentu, nie tylko nie dotykając, ale i nie widząc go.

– Ta analogia staje się tu zbyt gruba, więc odłóżmy ją. Domyślam się jednak, że wiecie, iż ciała faktycznie odpychają przebiegające obok promienie światła<sup>15</sup>. Fakt ten, przewidziany przez Einsteina,

---

<sup>15</sup>Teoria Einsteina przewiduje, odwrotnie, że ciała **przyciągają** światło; zakrzywiony jego bieg przypomina jednak opis Ojca Sogola (por. rysunek na stronie 30).

potwierdzony został przez astronomów Eddingtona i Crommelina 30 marca 1919 roku w czasie zaćmienia Słońca<sup>16</sup>. Ustalili oni, że gwiazda może być widoczna nawet gdy, z naszej perspektywy, skryła się za dyskiem słonecznym. A czy nie mogłyby istnieć nieznane substancje – nieznane właśnie z tego powodu – zdolne wytworzyć wokół siebie znacznie silniejszą *krzywiznę przestrzeni*? Musi tak być, bo tylko tak da się wytłumaczyć to, że ludzkość wciąż nie zdaje sobie sprawy z istnienia Góry Analog.

– Oto co ustaliłem, eliminując po prostu hipotezy niemożliwe. Gdzieś na Ziemi istnieje obszar o obwodzie co najmniej kilku tysięcy kilometrów, na którym wznosi się góra Analog. Podłoże tego regionu składa się z materiałów mających właściwości zakrzywiające przestrzeń dookoła w taki sposób, że obszar ten zamknięty jest w „skorupie” zakrzywionej przestrzeni. Skąd pochodzą te materiały? Czy są pochodzenia pozaziemskiego? Czy pochodzą z wnętrza Ziemi, o którego własnościach fizycznych wiemy tak mało, że możemy jedynie powtórzyć za geologami, iż żadna znana substancja nie może istnieć tam ani w stanie stałym, ani ciekłym, ani gazowym<sup>17</sup>? Nie wiem tego, ale wcześniej czy później ustalimy to *na miejscu*. Mogę również wywnioskować, że skorupa ta nie może być szczelnie zamknięta; musi być otwarta od góry, aby docierało tam wszelkiego rodzaju promieniowanie z gwiazd, niezbędne *zwykłemu człowiekowi* do życia; musi też zawierać spory ułamek masy planety i niechybnie otwierać się na jej środek z podobnej przyczyny.

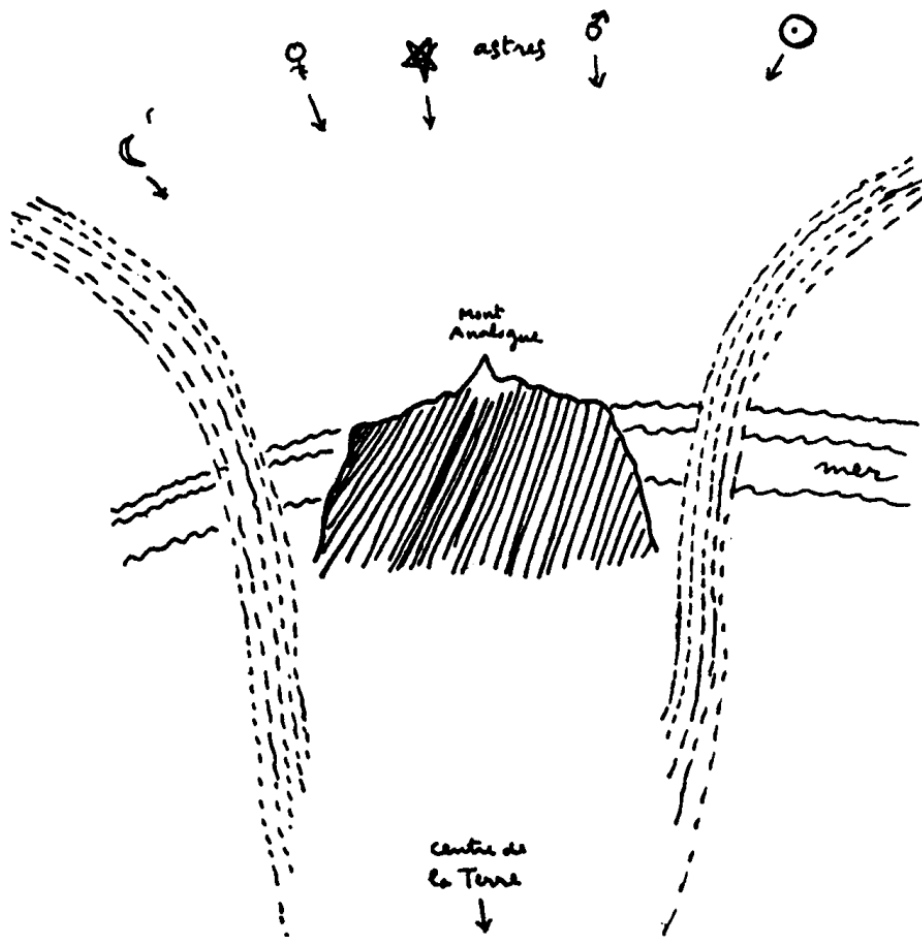
Wstał, aby nakreślić na tablicy rysunek.

– Tak, schematycznie, możemy przedstawić ten obszar. Przerwane linie, które kreślę, pokazują przykładowy bieg promieni światła; jak widać, te linie kierunków rozchodzą się na niebie, gdzie łączą się z ogólną strukturą przestrzenną naszego kosmosu. To rozwarcie musi następować na tak dużej wysokości – znacznie większej

---

<sup>16</sup>W rzeczywistości zaćmienie to miało miejsce 29 maja 1919 roku; jedną z ekspedycji kierowali Dyson i Eddington, a drugą – Crommelin i Davidson.

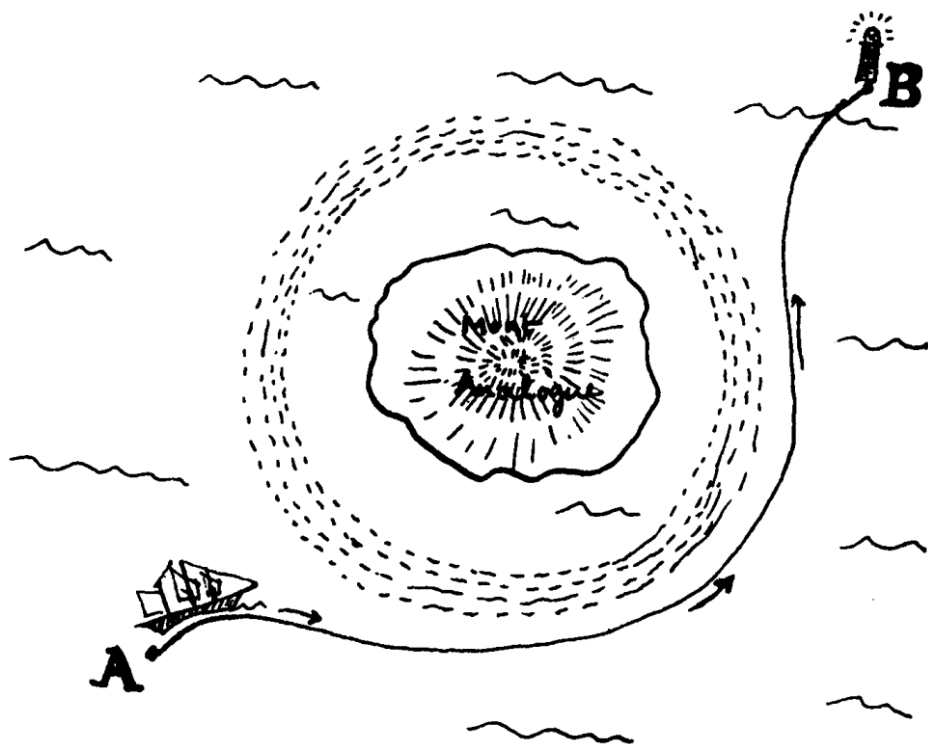
<sup>17</sup>Jeśli nie liczyć płynnego stopu niklu i żelaza.



niz grubość atmosfery – że na nic by się zdało próbować dostać się do „skorupy” od góry, w samolocie czy balonem.

– Jeżeli następnie wyobrazimy sobie sytuację w planie poziomym, dostaniemy taki obrazek. Proszę pamiętać, że najbliższe otoczenie Gór Analog musi być wolne od odczuwalnych anomalii przestrzennych, bo istoty takie jak my muszą być tam w stanie egzystować. To kwestia nieprzenikalnego *pierścienia krzywizny*, większego bądź mniejszego rozmiaru, który otacza całą krainę w pewnej odległości niewidzialnym i nienamacalnym wałem; dzięki temu *wszystko dzieje*

się tak, jakby Góra Analog nie istniała. Zakładając – dlaczego, o tym za chwilę – że chodzi o wyspę, oto jak trzeba by narysować trasę statku płynącego z **A** do **B**. Powiedzmy, że jesteśmy na jego



pokładzie. W punkcie **B** znajduje się latarnia morska. Z punktu **A** celuję lunetę prosto, w kierunku ruchu statku; widzę latarnię **B**, której światło obeszło Górę Analog bokiem i nie domyślam się nawet, że między mną a latarnią leży wyspa z wysokimi górami. Podążam zgodnie z kursem. Krzywizna przestrzeni odchyła światło gwiazd oraz linie sił pola magnetycznego Ziemi, tak że nawigując z pomocą sekstansu i busoli, uznaję, że poruszam się po linii prostej. Bez najmniejszego ruchu sterem mój statek, ze wszystkim co na pokładzie, podda się krzywiznie i popłynie wygiętym konturem narysowanym na schemacie z **A** do **B**. Nawet więc gdyby wyspa ta była tak wielka



jak Australia, staje się zrozumiałe, czemu nikt dotąd nie podejrzewał jej istnienia. Zgodzą się państwo?

Panna Pancake pobladła nagle z zachwytu.

– Ależ to historia Merlina w jego zaklętym kręgu! Prawdę mówiąc, zawsze uważałam, że cała ta głupia afera z Vivian została wymyślona dużo później, przez łowców alegorii, którzy nic a nic nie rozumieją. Taka jego natura, że jest ukryty przed naszymi oczami, za swoją niewidzialną barierą, która może być gdziekolwiek.

Sogol zamilkł na kilka sekund, aby pokazać, jak bardzo docenia to à-propos.

– No dobrze – ozwał się pan Beaver. – Ale w końcu pański kapitan zauważy, że spalił więcej węgla płynąc z **A** do **B** niż powinien.

– Nic podobnego, gdyż podążając za krzywizną przestrzeni, statek sam ulega wydłużeniu proporcjonalnie do tej krzywizny; to kwestia matematyki. Piece robią się większe, każdy kawałek węgla rozciąga się...

– Och! Rozumiem; w rezultacie wszystko się znosi. Ale w takim razie jak komukolwiek uda się dopłynąć do wyspy, zakładając, że uda się ustalić jej pozycję geograficzną?

– To było drugie pytanie do rozstrzygnięcia. Udało mi się to, trzymając się zawsze tej samej metody, która polega na uznaniu problemu za rozwiązany i wydedukowaniu z rozwiązania wszystkich logicznych konsekwencji. Metoda ta, nawiasem mówiąc, nie zawiodła mnie jeszcze w żadnej dziedzinie.

– Aby znaleźć sposób dotarcia na wyspę, należy założyć jego możliwość, a nawet *konieczność*. Jedyna dopuszczalna hipoteza, to że „skorupa krzywizny”, która otacza wyspę, nie jest *absolutnie* nieprzenikalna – to znaczy, *zawsze, wszędzie i dla każdego*. W  *pewnym momencie, pewnym miejscu i pewne osoby* (które wiedzą jak i chcą tego) mogą wejść. Uprzywilejowany moment, którego szukamy, powinien być określony wzorcem czasu wspólnym Górze Analog i reszcie świata; czyli zegarem naturalnym, najprawdopodobniej biegiem Słońca. Hipotezę tę wyraźnie wspierają pewne analogiczne rozważania oraz fakt, że rozwiązuje ona inną trudność. Proszę spojrzeć ponownie

na mój pierwszy rysunek. Widzimy, że linie krzywizny wznoszą się i rozchylają wysoko w kosmosie. Ale w takim razie jak może Słońce, w swej codziennej wędrówce, nieustannie oświetlać wyspę? Zmuszeni jesteśmy przyjąć, że Słońce ma własność „odkrzywania” przestrzeni, która otacza wyspę. O wschodzie i o zachodzie musi w jakiś sposób przedziurawiać powłokę; i przez tę właśnie dziurę wejdziemy!

Siedzieliśmy wszyscy oszołomieni śmiałością i logiczną mocą tej dedukcji. Wszyscy milczeli i wszyscy byli przekonani.

– Kilka *teoretycznych* punktów jest dla mnie nadal niejasnych – kontynuował Sogol. – Nie twierdzę, że w pełni rozumiem związek pomiędzy Słońcem a Górą Analog. Ale w kwestii *praktycznej* nie ma wątpliwości. Musimy jedynie ustawić się na linii wschodzącego lub zachodzącego Słońca (dokładnie na wschód lub zachód, jeżeli będzie to przesilenie<sup>18</sup>) i czekać na odpowiedni moment. Wówczas, tylko na kilka minut – póki dysk słoneczny pozostaje na horyzoncie – wrota otworzą się i, powtarzam, wejdziemy.

– Jest już późno; wyjaśnię kiedy indziej (może w trakcie podróży), dlaczego przedostać się można z zachodu, a nie ze wschodu: dzieje się tak zarówno z przyczyny symbolicznej jak i z powodu wiatru. Czas przejść do trzeciego pytania: gdzie leży ta wyspa?

– Postępujemy dalej zgodnie z przyjętą metodą. Masa materiałów tak ciężkich jak Góra Analog i jej podłoże, musiałaby wywołać zaburzenia w ruchu Ziemi – większe, według moich rachunków, niż drobne odchylenia dotąd odnotowane. Jednak masa ta istnieje. Zatem ta niewidzialna anomalia powierzchni ziemskiej musi być kompensowana przez inną anomalię. Otóż na nasze szczęście ta kompensująca anomalia jest widoczna, do tego stopnia, że znana jest geologom i geografom od dawna. Chodzi o ten niezwykley rozkład lądów i mórz, który dzieli nasz glob na „półkulę kontynentów” i „półkulę oceanów”.

Chwylił z półki globus i postawił go na stole.

– Oto sedno moich rachunków. Najpierw narysowałem równoleżnik – pomiędzy 50° a 52° szerokości północnej; przecina on najdłuższą połąć suchego lądu. Biegnie przez południe Kanady, a dalej przez cały

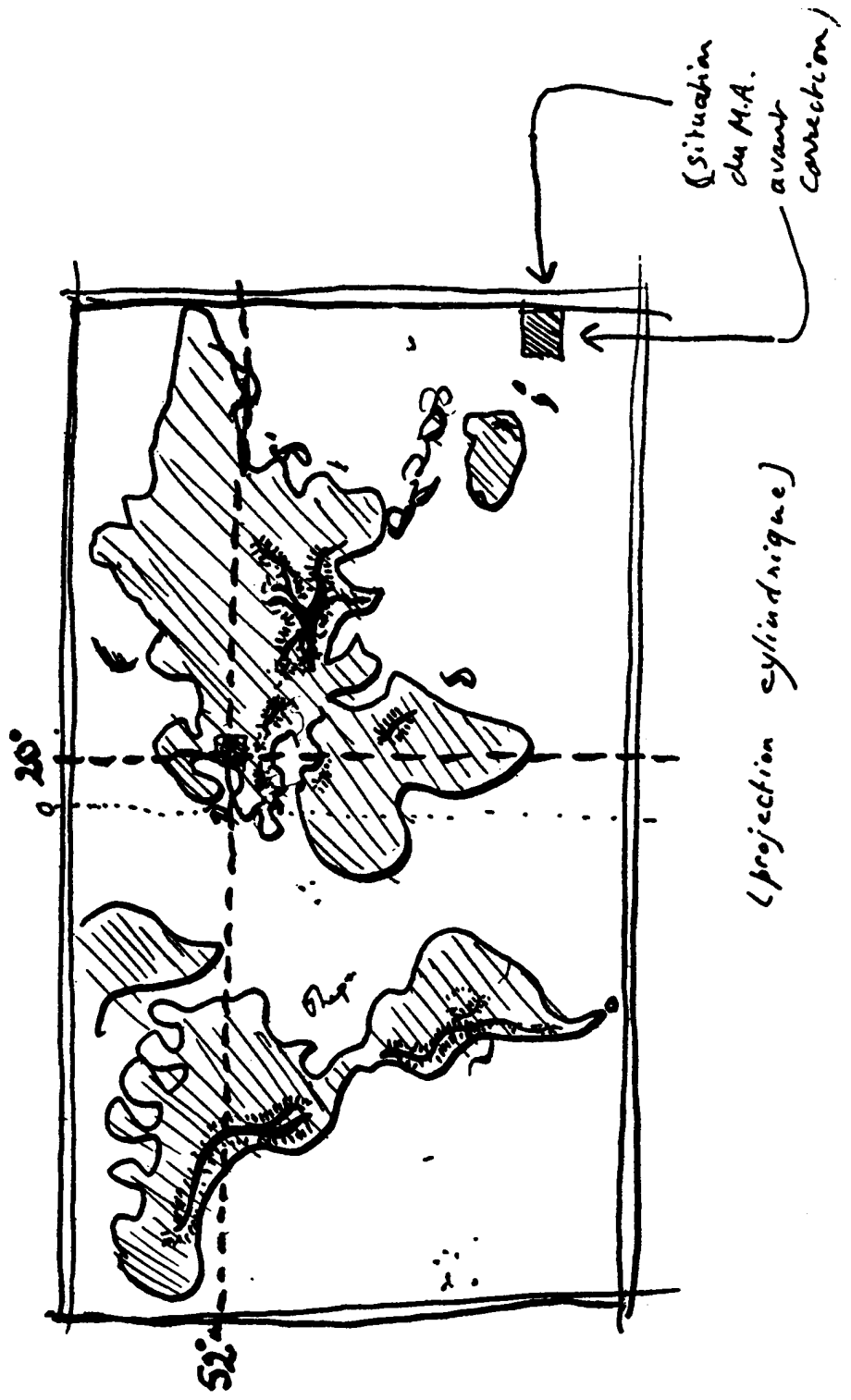
---

<sup>18</sup>Chodzi raczej o **równonoc**.

stary kontynent od południowej Anglii aż po wyspę Sachalin. Następnie rysuję południk, który przecina najdłuższy odcinek wynurzonej powierzchni. Znajduje się on pomiędzy 20 a 28 stopniem długości wschodniej i przecina stary świat mniej więcej od Spitzbergen do Południowej Afryki. Przyjąłem margines 8 stopni, bo Morze Śródziemne można traktować zarówno jako faktyczne morze, jak i jako morską enklawę na kontynencie. Według niektórych tradycji południk ten powinien przechodzić dokładnie przez Wielką Piramidę Cheopsa; to nie ma znaczenia dla istoty sprawy. Przecięcie obydwu linii, jak widać, wypada gdzieś we wschodniej Polsce, Ukrainie lub na Białorusi w czworoboku stworzonym przez Warszawę, Kraków, Mińsk i Kijów.

– Cudowne! – krzyknął Cicoria, heglowski krawiec. – Jasna sprawa! Jako że wyspa, której szukamy, ma na pewno większą powierzchnię niż ten czworobok, takie przybliżenie jest wystarczające. Góra Analog położona jest na antypodach tego regionu, co daje... Chwileczkę, niech policzę... Tu, na południowy wschód od Tasmanii i południowy zachód od Nowej Zelandii, na zachód od wyspy Auckland.

– Dobry tok myślenia – potwierdził Sogol. – Dobry, ale trochę pochopny. Tak byłoby, gdyby wynurzone lądy miały jednorodną grubość. Ale założmy, że na planisferze w postaci płaskorzeźby oddamy ułożenie masywów kontynentalnych i zawiesimy całość na sznurku umocowanym w centralnym czworoboku. Widać od razu, że wielkie pasma górskie Ameryki, Eurazji i Afryki, prawie wszystkie poniżej 50 równoleżnika, znacznie przechylały planisferę na południe. Ciężar Himalajów, gór Mongoli i łańcuchy afrykańskie mogą nawet przeważać góry amerykańskie i nachylić ją lekko na wschód – co do czego będę miał pewność dopiero po szczegółowych rachunkach. W każdym razie środek ciężkości mas lądowych musimy przesunąć sporo na południe, a może i lekko na wschód. Co zawiodłoby nas na Bałkany, może nawet do Egiptu czy Chaldei, miejsca biblijnego Edenu, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Tak czy inaczej Góra Analog pozostaje na południowym Pacyfiku. Będziemy więc potrzebować czasu na przygotowania – zarówno na organizację ekspedycji, jak i aby uporządkować



swoje sprawy osobiste przed długą podróżą. Proponuję ustalić datę wyjazdu na pierwszego października; to daje nam dobre dwa miesiące, a dotarlibyśmy na południe Oceanu Spokojnego w listopadzie – czyli na wiosnę.

– Pozostaje do rozwiązania kilka problemów drugorzędnych, ale nie bez znaczenia. Na przykład materialny aspekt ekspedycji.

Arthur Beaver odezwał się szybko: – Mój jacht *The Impossible*<sup>19</sup> to zgrabna łódka, opłynęła świat dokoła, nada nam się w sam raz. Co do pieniędzy, to zadbamy o to wspólnie, ale już teraz jestem pewien, że niczego nam nie zabraknie.

– Tymi godnymi słowami, drogi Arthurze – powiedział Ojciec Sogol – zyskałeś sobie prawo do tytułu „Odkupiciela miliardów”. Ale i tak sporo przed nami pracy. Wszyscy będziemy musieli się przyłożyć. Spotkajmy się ponownie, o ile to możliwe, w przyszłą niedzielę o drugiej. Przedstawię wtedy ostateczne wyniki obliczeń i nakreślimy plan działania.

Po czym wypiliśmy jeszcze szklaneczkę lub dwie, zapaliliśmy papierosy i, przez świetlik z liną, wszyscy rozeszli się, pogrążeni we własnych myślach.

Nic szczególnego nie wydarzyło się przez następny tydzień. Nie licząc jednak nadejścia kilku listów. Najpierw – krótka, melancholijna notka od poety Alphonse’a Camarda, który, po głębszym namyśle, żałował, że stan zdrowia nie pozwala mu nam towarzyszyć. Chciał jednak nadal na swój sposób uczestniczyć w wyprawie, przesłał mi za to kilka „Wędrownych pieśni góralskich”, dzięki którym, powiedział, „jego myśli podążą za nami w tej wspaniałej przygodzie”. Napisano je w różnych stylach i na każdą alpinistyczną okazję. Zacytuję tę, która najbardziej przypadła mi do gustu – choć zapewne, jeżeli czytelniczka nie zaznała tych drobnych niedoli, uzna to za głupie. Ale, jak to mówią, wszystkie gusta są zgodne z naturą<sup>20</sup>.

<sup>19</sup>*The Impossible* (ang.) – Niemożliwy.

<sup>20</sup>W oryginale: Il faut de tout pour faire un monde. – Dosłownie: potrzeba wszystkich typów, by stworzyć świat.

## LAMENT NIESZCZĘSNYCH ALPINISTÓW

Herbata smakuje aluminiowo,  
Dwanaście śpiworów dla trzydziestu ludzi;  
Co prawda było im ciepłej,  
Lecz wyruszyli przed świtem,  
W powietrzu siekącym jak brzytwa,  
Pomiędzy bielą a czernią.

Mój zegarek się zatrzymał – twojemu się pomieszało,  
Zlepiliśmy się miodem, a niebo pełne jest krup;  
Wyruszamy, bo dnieje i pozółknał już śnieg;  
Już dżdży kamieniami i zimno sączy się w ociężałe ręce,  
Benzyna przesiąkła do manierki,  
A lina zesztyniała jak kominiarski wycior.

W kurnej chacie, zwanej schroniskiem, roi się od pcheł  
Chrapanie penetruje nawet me odmrożone uszy,  
Wyglądasz jak zmokła kura, a mnie brakuje kieszeni;  
Znalazłaś mój kompas w suszonych śliwkach,  
Zapomniałem finki, leczy Ty masz szczoteczkę do zębów.

Po 25 tysiącach godzin wspinaczki, ciągle jesteśmy na dole  
Nadziani czekoladą, odłamujemy szron,  
Lgniemy do śnieżnego sera, wdychając skisłe chmury,  
Na dwa kroki widać tylko biel.

Poczekaj – daj mi odsapnąć,  
Mój plecak bije jak serce wrywające się na dół;

Dziury, bardziej czarne niż zielone,  
 Z bulgotem jak kolei żelazna;  
 Dziesięć tysięcy plecaków na morenie;  
 Pomyłone plecaki, a prawdziwe rozpadliny – ohydne łamignaty!  
 Oto mój *schaos*<sup>21</sup>, daj mi ponieść twą owsiankę,  
 Uzbrójmy się w cierpliwość i suszone śliwki.

Lodowiec pękł ze śmiechu –  
 Nad szczelinę wystają nam tylko brody;  
 W przestrzeni, która świerka, pomyliliśmy korytarz,  
 Kolana dzwonią nam jak zęby, a maczuga broni się,  
 Mam blok w pamięci i nawis w żołądku,  
 Milczymy z pragnienia, dwa palce mam bladozielone.

Szczytu nie ujrzeliśmy – poza etykietą na sardynkach.  
 Wiecznie klinującą się linię rozplątywaliśmy pół życia,  
 A ocknęliśmy się wśród krów.

„Jak się wspinało?”

„Pierwszorządnie. Lecz z trudem.”

Dostałem również list od Émile’a Gorge, dziennikarza. Obiecał spotkać się z przyjacielem w Oisans w sierpniu i zejść z głównego szczytu La Meije<sup>22</sup> ścianą południową – gdzie upuszczony kamień spada przez pięć czy sześć sekund nim dotknie dna – po czym miał do napisania reportaż w Tyrolu. Nie chciał byśmy odkładali nasz wyjazd z jego powodu; pozostając w Paryżu, oferował się opublikować w gazetach wszelkie relacje, które zechcielibyśmy mu przesłać z naszej podróży.

Sogol otrzymał długi, wzruszający list, dźwięczny i patetyczny, od Julie Bonasse rozdartej pomiędzy ochotą towarzyszenia nam a poświęceniem sztuce – była to najkrwawsza ofiara jakiej bóg Teatru

<sup>21</sup>Ciężko stwierdzić, czy to literówka, czy neologizm. W wersjach angielskiej, hiszpańskiej i rosyjskiej odnajdujemy odpowiednio: „schaos”, „bolsa” i „хаос”.

<sup>22</sup>Góra w Alpach Delfinackich we Francji.

kiedykolwiek od niej zażądał... była prawie gotowa zbuntować się i podążyć za swym samolubnym pragnieniem, ale cóż stałoby się wtedy z jej młodymi przyjaciółmi, których wzięła pod swoje skrzydła?

– I cóż? – Zapytał Sogol, przeczytawszy mi ten list. – Czy łąza się panu w oku nie kręci? Jest pan aż tak bezduszny, że serce mu się nie kraje? Co do mnie, byłem tak poruszony myślą, że się waha, iż natychmiast napisałem do niej, aby zachęcić do pozostania ze swoimi ulubieńcami i podniosłościami.

Benito Cicoria również do niego napisał. Dokładna analiza jego listu, który zajął dwanaście stron, przywiodła nas do wniosku, że i on postanowił nie towarzyszyć nam. Jego przyczyny podane były w szeregu prawdziwie kunsztownych „triad dialektycznych”. Niepodobna byłoby je streścić; trzeba by prześledzić całą konstrukcję, a to już niebezpieczne ćwiczenie. Przytoczę losowo jedno zdanie: „Choć triada możliwe–niemożliwe–przygoda może być uznana za natychmiast fenomenizowalną, a zatem fenomenizującą, w odniesieniu do pierwszej triady ontologicznej, jest taką wyłącznie pod warunkiem – w rzeczywistości epistemologicznym – dialektycznego *reversusu*<sup>23</sup>, którego treść predyskursywna nie różni się od *predyspozycji historycznej*, implikując praktyczną odwracalność procesu zorientowanego ontologicznie – konsekwencja, którą jedynie *fakty* mogłyby uzasadnić”. Oczywiście, oczywiście.

W sumie czworo „cykorów”, mówiąc potocznie. Zostało nas ośmioro. Sogol wyznał, że spodziewał się kilku kapitulacji. Z tej właśnie przyczyny udawał na ostatnim spotkaniu, że nie zakończył jeszcze swoich rachunków, mimo że to zrobił. Nie chciał, aby dokładne położenie Góry Analog znane nikomu poza członkami ekspedycji. Później stanie się jasne, jak wskazane były jego środki ostrożności, a jednocześnie niewystarczające; gdyby wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami Sogola, gdyby nie umknął mu był jeden element problemu, ta niewystarczająca ostrożność mogła doprowadzić do okropnej katastrofy.

---

<sup>23</sup>*Reversus* (łac.) – odwrócenie.



## KTÓRY JEST TYM O PRZEJŚCIU

*Prowizoryczni marynarze – Pomocna ręka – Szczegóły historyczne i psychologiczne – Pomiar siły ludzkiej myśli – Jak potrafimy liczyć najwyżej do czterech – Eksperymenty uzupełniające – Prowiant – Przenośny ogród kuchenny – Sztuczna symbioza – Urządzenia ogrzewające – Podejście zachodnie i morska bryza – Po omacku – Czy lodowce są żywe – Legenda o Pusto-Ludziach i Gorzkiej Róży – Kwestia pieniędzy*

**D**ZIESIĄTEGO października wypłynęliśmy na pokładzie *The Impossible*. Było nas ośmioro: Arthur Beaver, właściciel jachtu; Pierre Sogol, kierujący ekspedycją; Ivan Lapse, lingwista; bracia Hans i Karl; Judith Pancake, malarka gór; moja żona i ja. Postanowiliśmy nie wspominać przyjaciółom o dokładnym celu naszej wyprawy; gdyż albo wzięliby nas za szalonych, albo, co bardziej prawdopodobne, uznali, że zmyślamy, aby ukryć prawdziwy cel naszego przedsięwzięcia, o którym snuć by mogli najśmielsze domysły. Oznajmiłszy, że będziemy poznawać wyspy Oceanii, góry Borneo i Alpy Australijskie. Każdy z nas przygotował się na dłuższą nieobecność w Europie.

Arthur Beaver uznał za stosowne ostrzec swoją załogę, że wyprawa będzie długa i potencjalnie niebezpieczna. Odprawił, z rekompensatą, swoich ludzi, którzy mieli żony i dzieci, a zatrzymał jedynie trzech śmiałków, nie licząc "Kapitana", Irlandczyka, doskonałego nawigatora, dla którego *The Impossible* był jak drugie ciało. Cała nasza ósemka zdecydowała się zastąpić brakujących marynarzy i był to zresztą niezwykle ciekawy sposób spędzenia czasu podróży.

Nie oznacza to, że nadawaliśmy się na żeglarzy. Kilkoro z nas dopadła choroba morska. Inni, choć pełnię władz cielesnych czuli jedynie wisząc nad lodowatą skalną przepaścią, z trudem powstrzymywali mdłości, gdy statek ześlizgiwał się po dłuższych płynnych

stokach. Droga do naszych największych pragnień często wiedzie przez niepożądane.

*The Impossible*, dwumasztowiec, mknął pod zagłami, gdy tylko wiatr sprzyjał. Hans i Karl zrozumieli z czasem powietrze, wiatr i takielunek za pomocą ciała – tak jak rozumieli skalne ściany i liny. Obie panie nieustannie działały cuda w mesie. Ojciec Sogol pomagał „kapitanowi”, określał pozycję, przydzielał zadania, pomagał nam wejść w nowe role, mając oko na wszelkie szczegóły<sup>24</sup>. Arthur Beaver szorował pokład i czuwał nad naszym zdrowiem. Ivan Lapse został pokładowym mechanikiem, a ja całkiem nieźle radziłem sobie jako palacz.

Wymogi intensywnej, zespołowej pracy zbliżyły nas do siebie, jak gdybyśmy byli jedną wielką rodziną, przy tym rodziną dosyć osobliwą. Tworzyliśmy jednakże mieszankę bardzo odmiennych temperamentów; i prawdę mówiąc Ivan Lapse zauważał nieraz, że pannie Pancake beznadziejnie brakowało poczucia prawidłowego doboru słów; Hans patrzył na mnie koso, gdy tylko mówiłem o tak zwanych naukach „ścisłych” i uważał moje uwagi za lekceważące; Karłowi ciężko się pracowało obok Sogola, który, jak utrzymywał, tracił Murzynem, gdy się pocił; zadowolony wyraz twarzy dra Beavera za każdym razem, gdy zjadł śledzia, wyprowadzał mnie z równowagi, – ale nieoceniony, drogi Beaver, jako lekarz i gospodarz na statku, zadbał o to, aby nie doszło do żadnej infekcji, czy to ciała czy ducha, ekspedycji. Pojawiał się zawsze w porę z łagodzącym żartem, gdy tylko dwoje z nas zaczynało sobie działać na nerwy chodzeniem, mówieniem, oddychaniem lub jedzeniem.

Gdybym miał przedstawić tę opowieść tak, jak pisze się zazwyczaj historię, czy też tak, jak przypominamy sobie własną przeszłość, to znaczy wspominając jedynie o najwspanialszych chwilach i wynajdując pomiędzy nimi nową ciągłość, pominałbym te nieistotne detale i powiedział, że nasze osiem serc biło od świtu do zmierzchu w rytmie jednego, wszechogarniającego pragnienia – lub temu podobne kłamstwo. Ale ogień rozgrzewający pragnienie i oświetlający myśli nie

---

<sup>24</sup>Co za leser.

płonął nigdy dłużej niż kilka sekund – przez resztę czasu staraliśmy się o nim pamiętać.

Na szczęście trudy codziennej pracy, w której każdy odgrywał rolę, przypominały nam, że weszliśmy na pokład z własnej woli, że byliśmy sobie niezbędni i że byliśmy na statku, to znaczy w tymczasowej kwaterze, mającej nas przetransportować gdzie indziej; i gdy ktoś o tym zapomniał, kto inny natychmiast mu to uświadamiał.

W związku z tym Ojciec Sogol opisał nam doświadczenia, które wykonał kilka lat wcześniej w celu pomiaru siły ludzkich myśli. Opo- wiem jedynie to, co byłem w stanie z tego zrozumieć. Zastanawiałem się wtedy, na ile dosłownie można było to wszystko traktować i, wiec- nie oddany studiowaniu mej ulubionej dziedziny, podziwiałem Sogola jako wynalazcę „abstrakcyjnych symboli”: obiektów abstrakcyjnych symbolizujących rzeczy konkretne, odwrotnie niż zazwyczaj. Ale od tego czasu zorientowałem się, że rozróżnienie na abstrakcyjne i konkretne nie ma większego znaczenia, o czym mogłem być się dowiedzieć czytając Ksenofanesa z Elei<sup>25</sup> lub nawet Szekspira: rzecz istnieje lub nie, to wszystko. Sogol zatem próbował „zmierzyć myśl”; nie na sposób psycho-techników, którzy ograniczają się do porównania, w jaki sposób jednostka wykonuje taką czy inną czynność (do tego często zupełnie obcą myśli), ze średnim wynikiem innych jednostek w tym samym wieku. Miał zamiar zmierzyć siłę myśli jako wielkość absolutną.

– Ta siła – powiedział Sogol – jest arytmetyczna. W rzeczywistości każda myśl oznacza zdolność do uchwycenia podziału pewnej całości. Z kolei liczby to nic innego jak podziały jedności, inaczej mówiąc *podziały dowolnej całości*. Zacząłem obserwować, u siebie i u innych, ile liczb może człowiek rozważać, to znaczy może ich trzymać w świadomości bez rozkładania ani obrazowania; ile kolejnych konsekwencji danej zasady może pojąć naraz i natychmiast; jak wiele przynależności gatunku w rodzaju; ile relacji przyczyny i skutku, środków do celu;

---

<sup>25</sup>Chodzi zapewne o Ksenofanesa z Kolofonu, uważanego dawniej za nauczyciela Zenona z Elei, a nawet założyciela szkoły eleatów.

i nigdy nie była to liczba większa niż 4. Co więcej, liczba 4 wymagała wyjątkowego wysiłku mentalnego, który rzadko kiedy osiągałem. Myślenie idioty zatrzymało się na 1, a normalne myślenie większości osób doszło do 2 lub 3, bardzo rzadko do 4. Zrekonstruuje, jeśli można, parę z tych eksperymentów, proszę uważać.

Aby dobrze pojąć, co następuje, trzeba w dobrej wierze powtórzyć proponowane doświadczenia. Wymaga to sporej uwagi, cierpliwości i spokoju umysłu.

Mówił dalej:

– 1. Ubieram się, aby wyjść; 2. wychodzę, aby złapać pociąg; 3. wsiadam w pociąg, by dojechać do pracy; 4. idę do pracy, aby zarobić na życie. . . ; spróbujmy dodać piąte ogniwo, a jestem pewien, że przynajmniej jedno z pierwszych trzech umknie nam z umysłu.

Wykonaliśmy eksperyment; miał rację, a nawet nas przecenił.

– Weźmy inny rodzaj ciągu: 1. buldog jest psem; 2. psy są ssakami; 3. ssaki są kręgowcami; 4. kręgowce są zwierzętami. . . ; pociągnę dalej: zwierzęta są istotami żywymi – ale proszę, zapomniałem już o buldogu. Gdy przypomnę sobie „buldog”, zapomnę o „kręgowce”. . . W dowolnym rodzaju ciągu lub podziale logicznym natrafimy na ten sam fenomen. Dlatego wciąż mylimy przypadek z esencją, przyczynę ze skutkiem, środki z celem, nasz statek z trwałą siedzibą, nasze ciała lub umysły z nami, a nas samych z czymś wiecznym.

Ładownię małego okrętu wypełniał szereg urządzeń i zaopatrzenia. Beaver przemyślał kwestię prowiantu dogłębnie i kreatywnie. Pięć ton zapasów miało żywić nas ośmioro i czwórkę załogi przez dwa lata, zakładając, że w drodze nie znajdziemy okazji, by je uzupełnić. Sztuka dobrego żywienia jest ważną częścią wspinaczki i doktor doprowadził ją do perfekcji. Standardowy „zimny posiłek” na pikniki składający się z wędlin, sardynek w oleju, wina, pomarańczy i tym podobnych może stać się niebezpiecznie toksyczny w trakcie wypraw na większe wysokości. Z drugiej strony, typowy prowiant alpinistyczny oparty na suszonych owocach, cukrze, tłuszczu i maśle, choć nadający się na krótkie trasy, przy dłuższej ekspedycji szybko ukazuje swój brak pełnowartościowych składników i czynników katalitycznych. Be-

aver wynalazł „przenośny ogródek” ważący zaledwie pięćset gramów. Był to pojemnik z miki wypełniony syntetyczną glebą, w której wysiewano nasiona szybkiego wzrostu; średnio co dwa dni urządzenie to produkowało porcję zielonych warzyw wystarczającą dla jednej osoby – oraz kilka małych grzybów. Próbował również wykorzystać współczesne metody hodowli tkanek (zamiast hodować bydło, powiedział sobie, dlaczego nie bezpośrednio befsztyki?), ale wymagało to ciężkiej i delikatnej aparatury, dając przy tym obrzydliwy produkt, więc ostatecznie projekt ten zarzucił. Lepiej było obyć się bez mięsa.

Z pomocą Hansa Beaver udoskonalił oprócz tego urządzenia oddechowemu i ogrzewające, których użył w Himalajach. Szczególnie wymyślny był mechanizm do oddychania. Maskę z elastycznego materiału nakładało się na twarz. Powietrze wydychało się rurką do „przenośnego ogrodu”, gdzie chlorofil młodych roślin, hiperaktywowany ultrafioletowym promieniowaniem na dużej wysokości, absorbował dwutlenek węgla i oddawał człowiekowi dodatkowy tlen. Działanie płuc i elastyczność maski utrzymywały lekkie nadciśnienie, a aparat ustawiony był, aby zapewnić prawidłową ilość dwutlenku węgla we wdychanym powietrzu. Rośliny wchłaniały też nadmiar wilgoci z wydechu, którego ciepło aktywowało również ich wzrost. W ten sposób funkcjonował, na indywidualną skalę, zwierzęco-roślinny cykl, który pozwolił na sporą oszczędność zapasów. W skrócie – osiągnięty został rodzaj sztucznej symbiozy pomiędzy zwierzęciem a rośliną. Inne składniki odżywcze dostarczane były skoncentrowane w postaci mąki, zestalonego oleju, cukru, odwodnionego mleka i sera.

Na potrzeby skrajnych wysokości mieliśmy butle z tlenem i ulepszone aparaty oddechowe. Gdy będzie na to pora, opowiem też o dyskusji o tym ekwipunku i co się z nim stało.

Doktor Beaver wymyślił również odzienie dostarczające ciepła za pomocą wewnętrznego zapłonu katalitycznego, lecz po serii eksperymentów ustalił, że porządne puchowe ubrania, podszyte izolującymi poduszkami z powietrzem, są wystarczające na wycieczki w najcięższym mrozie. Urządzenia produkujące ciepło są konieczne jedynie w trakcie biwaków, a wtedy można się ogrzać przy naftalenowych

palnikach do gotowania. Ta wygodna substancja dostarcza intensywnego ciepła z małej objętości, jeżeli użyć odpowiedniego piecyka, gwarantującego całkowite (a zatem i bezzapachowe) spalanie. Jednakże nie wiedzieliśmy, jak wysoko zaprowadzi nas nasza wyprawa i, na wszelki wypadek, zabraliśmy ze sobą ogrzewające ubrania z podwójnym podszyciem z platynowanego azbestu, w który wdmuchiwało się powietrze nasycone parami alkoholu.

Wyposażeni byliśmy również, rzecz jasna, w standardowy ekwipunek górski: podbijane buty i kolce wszelkiego rodzaju, liny, haki, młotki, karabinki, czekany, raki, rakiety śnieżne, sprzęt narciarski, nie licząc instrumentów pomiarowych jak busole, klinometry, wysokościomierze, barometry, termometry, dalmierze, alidady, aparaty fotograficzne i inne. Również broń: strzelby, karabiny, rewolwery, kordelasy; dynamit; wszystko by stawić czoła każdej napotkanej przeszkodzie.

Sogol osobiście prowadził dziennik pokładowy. Nie znam się na sprawach morskich na tyle, by mówić o drobnych incydentach żeglarskich, które nie miały zresztą większego znaczenia. Wypłynawszy z La Rochelle, zatrzymaliśmy się na Azorach, w Gwadelupie, Colón i przez Kanał Panamski wpłynęliśmy na Południowy Pacyfik w pierwszym tygodniu listopada.

Mniej więcej wtedy Sogol wyjaśnił nam któregoś dnia, dlaczego konieczne było zbliżyć się do niewidzialnego kontynentu od zachodu, o zmierzchu, nie od wschodu o świcie: ponieważ, jak w eksperymencie z rozgrzaną komorą Franklina<sup>26</sup> zimna bryza morska musi wiać w stronę przegrzanych dolnych warstw atmosfery Góry Analog. Zostalibyśmy więc wessani do środka, podczas gdy o świcie od wschodu – gwałtownie odepchnięci. Ponadto skutek ten był do przewidzenia symbolicznie. Cywilizacje, w naturalnym procesie degeneracji, poruszają się ze wschodu na zachód. Aby wrócić do źródeł, należy podróżować w przeciwnym kierunku.

---

<sup>26</sup>Może tu chodzić o palenisko Franklina, którego dodatkowy odwrócony syfon zapewniał więcej ciepła, a mniej dymu.

Osiągnawszy region, który miał graniczyć z Górą Analog od zachodu, trzeba było trochę pomyszkować. Krążyliśmy z małą prędkością i każdego wieczoru, gdy tylko dysk słoneczny dotknąć miał horyzontu, ustawialiśmy się dziobem na wschód i czekaliśmy, ledwo oddychając, z szeroko otwartymi oczami, póki Słońce nie zniknęło. Morze było piękne. Ale czekanie wycieńczające. Mijał tak dzień po dniu, z kilkoma minutami nadziei i wyczekiwania każdego wieczoru. Powątpiewanie i niecierpliwość zaczęły wystawiać swe rogi na pokładzie *The Impossible*. Na szczęście Sogol ostrzegł nas, że szukanie po omacku może nam zająć miesiąc lub dwa.

Znosiliśmy to nieźle. Często, aby uprzyjemnić sobie trudne godziny po zmierzchu, wymienialiśmy się opowieściami. Pamiętam, że pewnej nocy mówiliśmy o legendach górskich. Powiedziałem, że wydaje się, iż wysokie góry są znacznie uboższe w fantastyczne historie niż na przykład morza czy puszcze. Karl miał na to wyjaśnienie.

– Na dużych wysokościach – rzekł – nie ma miejsca na fantastyczne, bo rzeczywistość jest sama w sobie cudowniejsza niż cokolwiek, co może sobie człowiek wyobrazić. Czy ktokolwiek mógłby wyśnić gнома lub olbrzyma, hydrę lub katoblepasa<sup>27</sup>, które mogłyby konkurować z mocą i tajemniczością lodowca, choćby i najmniejszego? Bo lodowce są stworzeniami żywymi; ich materia odnawia się przez okresowy proces w mniej więcej niezmiennej formie.

– Lodowiec jest stworzeniem zorganizowanym: *névé*<sup>28</sup> jest głową, która połyka śnieg i odłamki skalne, wyraźnie oddzieloną od reszty ciała przez *Bergschrund*<sup>29</sup>; dalej ciągnie się ogromny brzuch, w którym śnieg przekształca się w lód, brzuch przeszyty głębokimi szczelinami i kanałami odprowadzającymi wodę; spodem zaś wydala, w postaci moreny, pozostałości pokarmu. Rytm jego życia nadają pory roku. Zimą śpi, by zbudzić się na wiosnę, trzeszcząc i hucząc. Niektóre lodowce nawet się replikują, na sposób niewiele prymitywniejszy od jednokomórkowców, za pomocą syntezy i złączenia, lub rozszczepienia,

<sup>27</sup>Legendarne zwierzę z Etiopii, prawdopodobnie odpowiadające antylopie gnu.

<sup>28</sup>Forma zbitego śniegu, przechodząca z czasem w firn, a następnie lód lodowcowy.

<sup>29</sup>Inaczej: szczelina brzeżna; (fr.) rimaye.

powstają tak zwane lodowce zregenerowane.

– Podejrzewam – odparł Hans – że to, o czym mówisz, jest metafizyczną definicją życia, nie naukową. Stworzenia żywe uzyskują energię na drodze chemicznej, natomiast ciało lodowca utrzymuje się przez procesy fizyczne i mechaniczne: zamarzanie i stapianie, kompresję i ubijanie.

– Prawda – odrzekł Karl – ale wy, naukowcy, badający na przykład krystalizowalne<sup>30</sup> wirusy, w poszukiwaniu form przejściowych pomiędzy fizycznym a chemicznym oraz między chemicznym a biologicznym, wiele byście skorzystali, obserwując lodowce. Być może były one pierwszym podejściem natury w tworzeniu życia za pomocą procesów czysto fizycznych.

– „Być może” – powiedział Hans – „być może” nie ma dla mnie sensu. Co jest pewne, to to, że lodowiec nie zawiera węgla, a zatem nie jest substancją organiczną.

Ivan Lapse, który lubił popisywać się znajomością wszelkich literatur, przerwał:

– W każdym razie Karl ma rację. Victor Hugo, schodząc z Rigi<sup>31</sup>, której już w jego czasach nie uznawano za bardzo zbyt wysoką, zauważył, że widok z wysokiego szczytu tak gwałtownie koliduje z naszymi wizualnymi przyzwyczajeniami, że naturalne przyjmuje wygląd nadprzyrodzonego. Stwierdził nawet, że zwykły ludzki umysł nie jest zdolny znieść takiego zaburzenia postrzegania, czym tłumaczył dużą liczbę umysłowo niedorozwiniętych w regionach alpejskich.

– To prawda, wszystko prawda – podchwycił Arthur Beaver – choć ta ostatnia teoria to kompletna bzdura. Wczoraj wieczorem panna Pancake pokazała mi kilka szkiców wysokogórskich pejzaży, które potwierdzają to, co pan mówi. . .

Panna Pancake potrafiła filizankę, wierząc się nerwowo, a Beaver kontynuował:

– Ale myli się pan mówiąc, że wysokie góry nie są bogate w legendy. Słyszałem kilka całkiem osobliwych. Choć co prawda nie w Europie.

---

<sup>30</sup>Być może krystalizujące.

<sup>31</sup>Szczyt w Prealpach Szwajcarskich.



– Zamieniamy się w słuch – rzekł natychmiast Sogol.

– Nie tak prędko – odpowiedział Beaver. – Bardzo chętnie opowiem jedną z tych historii; ci, od których ją znam, kazali obiecać, że nikomu nie wyjawię skąd pochodzi, co tutaj ma małe znaczenie. Ale chcąc to zrobić wiernie, będę musiał odtworzyć ją w oryginalnym języku i poprosić naszego przyjaciela Lapse o pomoc w tłumaczeniu. Jutro po południu, jeśli chcecie, opowiem wam ją.

Następnego dnia po obiedzie, jako że jacht tkwił unieruchomiony na spokojnym morzu, zgromadziliśmy się, aby wysłuchać opowieści. Zazwyczaj mówiliśmy między sobą po angielsku, a czasami po francusku, ponieważ każdy znał wystarczająco obydwaj języki. Ivan Lapse wolał przetłumaczyć legendę na francuski i sam też ją odczytał.

## OPOWIEŚĆ O PUSTO-LUDZIACH I GORZKIEJ RÓŻY

*Pusto-ludzie mieszkają w litych skałach i przemieszczają się w nich pod postacią ruchomych pieczar. W lodzie przyjmują postać baniek powietrza w kształcie człowieka. Ale nigdy nie wychodzą na powierzchnię, bo zdmuchnąłby ich wiatr.*

*W skale mają domy, których ściany zrobione są z dziur, i namioty w lodzie, których płótno tworzą bąbelki. W dzień śpią w kamieniu, a nocą błakają się po lodzie, gdzie tańczą w pełni Księżyca. Lecz nigdy nie widzą Słońca, inaczej rozpadliby się na kawałki.*

*Karmią się tylko pustką, jedząc trupie kształty; upajają się pustostwami i czczą mowę, które wypowiadamy.*

*Jedni mawiają, że istnieli od zawsze i będąc istnieć wiecznie. Inni, że to umarli. Jeszcze inni zaś, że każdy żywy człowiek ma w górach swojego Pustego, jak miecz pochwę, a stopa ślad, i że w dniu śmierci się zejda.*

*W wiosce Sto-Chat mieszkali stary kapłan-czarownik, Któwi<sup>32</sup>, i jego żona Hulé-hulé. Mieli dwóch synów, identycznych bliźniaków, których nikt nie potrafił odróżnić, zwanych Mo i Ho. Myliła ich nawet*

<sup>32</sup>W oryginale: Kissé – fonetycznie odpowiadające „Qui sait?”, czyli „Któż to wie?”.

własna matka. Aby ich rozróżnić w dniu nadawania imion, Mo dostał naszyjnik z krzyżykiem, a Ho naszyjnik z małym pierścieniem.

Stary Któwi ogromnie się w duchu trapił. Zgodnie ze zwyczajem najstarszy syn miał z czasem przejąć obowiązki ojca. Ale który syn był najstarszy? Czy w ogóle miał najstarszego syna?

Już w wieku młodzieńczym Mo i Ho osiągnęli biegłość we wspinaczce. Nazywano ich dwoma Wszędobylcami. Pewnego dnia ojciec rzekł do nich: „Temu z was, który przyniesie mi Gorzką Różę, przekażę wielką wiedzę.”

Gorzką Różę znaleźć można jedynie na szczytach najwyższych turni. Tego, kto jej spróbuje, gdy tylko będzie chciał skłamać głośno lub po cichu, zaczyna palić język. Nadal może skłamać, ale zostaje ostrzeżony. Kilko tylko widziało Gorzką Różę: zgodnie z tym, co mówią, wygląda jak duży, wielobarwny porost lub jak rój motyli. Ale nikt nie był w stanie jej schwycić, gdyż najmniejszy dreszcz strachu płoszy ją i chowa się ona wgłąb skały. Otóż nawet jeśli ktoś jej pragnie, zawsze odrobinę boi się ją osiąść, a ona natychmiast znika.

Żeby oddać niemożliwe lub absurdalne zadanie, mówi się: „To jak starać się zobaczyć noc w biały dzień.” lub: „to jak chcieć oświetlić Słońce, żeby je lepiej widzieć” albo: „to jak próbować złapać Gorzką Różę”.

Mo wziął ze sobą liny, czekan, toporek i żelazne haki. Wstające Słońce złapało go na zboczach Przebichmury. Jak jaszczurka, a czasem jak pajak, pnie się wzdłuż długich czerwonych ścian, między białymi śniegami a niebiesko-czarnym niebem. Małe, chyże obłoki okrywają go od czasu czasu, by nagle znów zwrócić go światłu. I oto tuż nad sobą widzi Gorzką Różę, mieniającą się barwami, których brak nawet w tęczy. Powtarza nieustannie zaklęcie, którego nauczył go ojciec, mające chronić przed strachem.

Tu będzie potrzebny hak ze strzemieniem z liny, żeby dało się osiąść tego wystającego jak koński łeb kawałka skały. Uderza młotkiem, a jego dłoń zagłębia się w dziurę. Pod skałą jest wydrążenie. Odtłamuje skalną skorupę i widzi, że wydrążenie ma postać człowieka:

*tułów, nogi, ramiona i dołki w kształcie palców rozpostartych jakby w przerażeniu – to głowę przebił uderzeniem młotka.*

*Lodowaty wiatr owiewa skałę. Mo zabił Pusto-człeka. Zadrzał, a Gorzka Róża schowała się w kamieniu.*

*Mo schodzi do wioski i mówi swemu ojcu: „Zabiłem Pusto-człeka. Ale widziałem Gorzką Różę i jutro pójdę ją odszukać”.*

*Stary Któwi zasepił się. W dali widział zbliżający się korowód nieszczęść. Powiedział: „Uważaj na Pusto-ludzi. Będą chcieli pomścić jego śmierć. Do naszego świata wejść nie mogą. Ale mogą podejść aż pod powierzchnię. Strzeż się powierzchni w górach”.*

*Rankiem następnego dnia Hulé-hulé obudziła się z krzykiem, wstała i pobiegła w stronę góry. U stóp wielkiej, czerwonej ściany, leżało ubranie Mo, a także jego liny, czekan i naszyjnik z krzyżem. Ale jego ciała już nie było.*

*„Ho, mój synu!” krzyczała biegnąc z powrotem. „Mój synu, zabili twojego brata!”*

*Ho poderwał się, z zębami zaciśniętymi, aż skóra drętwiała mu na głowie. Porwał swój toporek gotowy wyruszyć. Ojciec rzekł mu: „Posłuchaj mnie wpierw. Pusto-ludzie porwali twojego brata i zamienili go w jednego z nich. Będzie chciał uciec, szukając światła w seraku<sup>33</sup> Przejrzystego Lodowca. Załóż jego medalion obok swojego. Znajdź go i łupnij w głowę. Wejdz w kształt jego ciała, a Mo odżyje wśród nas. Nie bój się zabić umarłego”.*

*Ho spogląda uważnie na błękitny lód Przejrzystego Lodowca. Czy to gra światła i cienia, czy mieni mu się przed oczami, czy naprawdę widzi to co widzi? Dostrzega srebrzyste sylwetki z nogami i rękami, jak naoliwieni nurkowie pod wodą. To jego brat Mo, jako pusta postać, ucieka przed tysiącem ścigających go Pusto-Ludzi, którzy boją się zbliżyć do słońca. Kształt Mo umyka w stronę światła, wspina się na wielki niebieski serak, kręci w miejscu, jakby szukał wyjścia.*

*Ho rzuca się naprzód, choć krew ścina mu się w żyłach i serce mu pęka, mówi swej krwi i sercu: „Nie bój się zabić umarłego” i uderza*

<sup>33</sup>Wielka bryła lub kolumna lodu utworzona na skutek pęknięcia lodowca.

*w głowę, łamiąc lód. Postać Mo nieruchomieje. Ho roztopuje lód seraka i wchodzi w kształt swego brata, jak miecz do pochwy i jak stopa w ślad. Rozpycha się łokciami, wierci i wyciąga nogi z lodowej formy. Słyszcy, jak wypowiada słowa w języku, którym nigdy nie mówił. Czuje, że jest Ho i jednocześnie jest Mo. Wszystkie wspomnienia Mo przenikają jego pamięć: wspinaczka na Przebichmurę i siedlisko Gorzkiej Róży.*

*Z pierścieniem i krzyżem na piersi staje przed Hulé-hulé: „Matko, nie będziesz już musiała się trudzić, żeby nas odróżnić; Mo i Ho są w tym samym ciełe – jestem twoim jedynym synem, Moho”.*

*Stary Któwi uronił parę łez, a jego twarz rozpromieniła się. Ale chciał rozwiązać jeszcze jedną wątpliwość. Powiedział do Moho: „Jesteś moim jedynym synem. Ho i Mo nie muszą się już odróżniać.*

*Ale Moho odpowiedział mu z przekonaniem: Teraz mogę dotrzeć do Gorzkiej Róży. Mo zna drogę, a Ho wie, co należy czynić. Panując nad swym lękiem, zdobędzie kwiat przenikliwości.*

*Zerwał kwiat, otrzymał wiedzę, a stary Któwi mógł odejść z tego świata w pokoju.*

Tego wieczora Słońce ponownie zaszło, nie otwierając nam wrót do innego świata.

Inne jeszcze pytanie zaprzętało nam głowy przez dni oczekiwania. Nie wyrusza się do obcego kraju, mając na celu zdobycie czegoś, bez określonego zapasu pieniędzy. Podróżnicy zazwyczaj wiozą ze sobą na wymianę z napotkanymi „dzikimi” czy „tubylcami” wszelkiego rodzaju tandetę i świecidełka, szczyryki, lusterka, pamiątki z Paryża, buble z konkursu Lépine’a<sup>34</sup>, szelki i podwiązki, ozdóbki, serwetki, mydełka, wódkę, stare strzelby, zwietrzałą amunicję, sacharynę, kepi, tytoń, słomki, medale i szarfy – o dewocjonaliach nie wspominając. Jako że mogliśmy w trakcie podróży, a także i na docelowym kontynencie, spotkać przedstawicieli zwyczajnej ludzkości, zaopatrzyliśmy się w takowe dobra. Ale w kontaktach z wyższymi istotami Góry Analog co mogłoby być środkiem wymiany? Co wartościowego posiadaliśmy? Czym mogliśmy zapłacić za wiedzę, której szukaliśmy? Czy będziemy

<sup>34</sup>Konkurs dla wynalazców, do dzisiaj organizowany w Paryżu.

musieli o nią zebrać? Albo zdobyć na kredyt?

Każdy tworzył swój inwentarz i każdy czuł się biedniejszy z dnia na dzień, nie widząc wokół siebie ani w sobie niczego co by naprawdę posiadał. I tak pewnego wieczora staliśmy się ósemką zubożałych kobiet i mężczyzn, pozbawionych wszystkiego, którzy patrzyli jak Słońce chyli się ku zachodowi.



## W KTÓRYM PRZYBYWAMY I W KTÓRYM PROBLEM PIENIĘDZY POJAWIA SIĘ ŚCIŚLE

*Oto jesteśmy – Wszystko nowe, nic zaskakującego – Przesłuchanie – Zejście na ląd w Małpim Porcie<sup>35</sup> – Stare okręty – System pieniężny – Peradam, wzorzec wszelkiej wartości – Zrezygnowani mieszkańcy wybrzeża – Utworzenie kolonii – Fascynujące rozrywki – Metafizyka, socjologia, lingwistyka – Flora, fauna, mity – Plany wypraw i badań – „Kiedy wyruszamy?” – Paskudna sowa – Niespodziewany deszcz – Upraszczenie ekwipunku, zewnętrznego i wewnętrznego – Pierwszy peradam!*

**D**ŁUGIE oczekiwanie nieznanego zmniejsza ostateczne zaskoczenie. Oto jesteśmy, ledwo od trzech dni zakwaterowani tymczasowo w naszym małym domku w Małpim Porcie na zboczach Góry Analog, a już wszystko wydaje się znajome. Przez okno widzę *The Impossible* zakotwiczonygo w dopływie zatoki, która otwiera się na horyzont, jak wszystkie morskie horyzonty, oprócz tego że podnosi się on wyraźnie z biegiem Słońca od rana do południa, a następnie opada od południa do zachodu, na skutek zjawiska optycznego, nad którym Sogol łamie sobie głowę w sąsiednim pokoju. Ponieważ powierzono mi dziennik ekspedycji, od rana usiłuję przelać na papier okoliczności naszego przybycia na Kontynent. Nie potrafię oddać wrażenia czegoś jednocześnie niesamowitego i oczywistego, tego oszałamiającego uczucia dejá-vu... Próbuję użyć notatek moich towarzyszy podróży i na pewno będą one pomocne. Liczyłem także na fotografie i filmy Hansa i Karla; ale po wywołaniu żaden obraz nie pojawił się na kliszy. Nie udało nam się tu sfotografować niczego za pomocą normalnego sprzętu – kolejna optyczna zagadka do rozwiązania dla Sogola.

---

<sup>35</sup>W oryginale: Port-des-Signes.

Trzy dni temu, w momencie gdy Słońce miało już zniknąć za horyzontem, a my odwróceny do niego plecami czekaliśmy w napięciu na dziobie, bez żadnego ostrzeżenia zerwał się wiatr, a raczej potężny wdech porwał nas naprzód, rozwarła się przed nami przestrzeń, bezdenna pustka, pozioma otchłań niemożliwe splecionych kręgów powietrza i wody; wszystkie żebra statku trzeszczały, gdy pomknął wzdłuż pochyłości wznoszącej się do środka otchłani i nagle osiadł łagodnie, dryfując w rozległej spokojnej zatoce niedaleko lądu! Był on na tyle blisko, że mogliśmy rozróżnić drzewa i domy; wyżej pola uprawne, lasy, łąki i wzgórza; a jeszcze wyżej, w tle, wysokie szczyty i lodowce płonące w czerwieni zachodzącego Słońca. Flotylla łodzi – każda obsadzona dziesięcioma wioślarzami, ewidentnie Europejczykami, z nagimi, opalonymi torsami – podpłynęła, aby nas przyholować do kotwicowiska. Najwyraźniej spodziewano się nas. Okolica przypominała śródziemnomorską wioskę rybacką; nie czuliśmy się wyobcowani. Dowódca flotylli poprowadził nas w milczeniu do białego domu, gdzie, w pustym pokoju z czerwoną mozaiką na podłodze, przyjął nas na dywanie człowiek w górskim ubraniu. Mówił płynną francuszczyzną, ale z wewnętrznym uśmiechem kogoś, kto czuje niezdarność wyrażań, których musi używać, aby go zrozumiano. Z pewnością tłumaczył – bez namysłu i pomyłek, ale wyraźnie tłumaczył.

Wypytał nas po kolei. Każde z jego pytań – a wszystkie bardzo proste: Kim jesteście? Dlaczego tu przybyliśmy? – zaskoczyło nas, przeszło na wskroś. Kim jesteś? Kim jestem? Nie mogliśmy odpowiedzieć mu jak pracownikowi konsulatu czy celnikowi. Podać imię, nazwisko i zawód? Ale co to znaczy? A *kim* ty jesteś? I *czym* jesteś? Słowa, których użyliśmy – nie mieliśmy innych – były martwe, obrzydliwe lub groteskowe jak zwłoki. Spostrzegliśmy, że z przewodnikami Góry Analog słowa na niewiele się zdadzą. Sogol podjął się dzielnie krótko streścić naszą podróż.

Człowiek, który nas przyjął, faktycznie był przewodnikiem. Przywództwo w tej krainie sprawują przewodnicy górscy, którzy tworzą odrębną klasę i, poza obowiązkami przewodników, pełnią na zmianę niezbędne administracyjne funkcje w wioskach na wybrzeżu i zbo-



czach góry. Człowiek ten podał nam stosowne informacje o kraju i czego od nas oczekiwano. Zeszliśmy na ląd w małej, nadbrzeżnym mieścinie zaludnionej Europejczykami, w większości Francuzami. Nie ma tu tubylców. Wszyscy mieszkańcy przybyli skądinąd, ze wszelkich stron świata, jak my, a każdy naród ma swoją kolonię wzdłuż wybrzeża. Jak to się stało, że trafiliśmy dokładnie na tę miejscinę, Małpi Port, zamieszkałą Zachodnioeuropejczykami, jak my? Mielśmy się dowiedzieć później, że nie był to przypadek, i że wiatr, który nas tam zawiódł nie był naturalnym, przypadkowym wiatrem, ale że wiał zgodnie z pewną wolą. A skąd ta nazwa, Małpi Port, skoro w tym regionie nie było ani jednego czterorękiego<sup>36</sup> gatunku? Nie jestem pewien, ale nazwa ta przywołała w mym umyśle niezbyt przyjemne całe moje zachodnie, dwudziestowieczne dziedzictwo – ciekawskie, naśladownicze, bezwstydne i podniecone. Nie mogliśmy wylądować nigdzie poza Małpim Portem. Stamtąd, o własnych siłach, mieliśmy dostać się do chatki Bazy, dwa dni drogi w głąb wyższych pastwisk, gdzie znaleźlibyśmy przewodnika, który poprowadziłby nas wyżej. Musieliśmy zatem zostać w Małpim Porcie przez kilka dni, aby przygotować bagaże i zorganizować karawanę tragarzy, bo do Bazy trzeba było zabrać dość zapasów na dłuższy pobyt. Zaprowadzono nas do małego domu, bardzo czystego i oszczędnie wyposażonego, gdzie każdy z nas miał do dyspozycji coś na kształt celi, którą mógł urządzić wedle uznania, a w środku znajdował się duży pokój z paleniskiem, gdzie zbieraliśmy się na posiłki i wieczorne narady.

Za domem ośnieżony wierzchołek przyglądał się nam znad zalesionych ramion. Z przodu ciągnęła się przystań, gdzie odpoczywał nasz statek, najnowszy dodatek w najdziwniejszej flocie jaką można sobie było wyobrazić. W zatoczkach wzdłuż nadbrzeża ciągnęły się w stłoczonych szeregach statki wszystkich epok i narodów, z których najstarsze pokrywało tyle soli, wodorostów i skorupiaków, że nie dało się ich już rozpoznać. Były tam statki fenickie, triremy, galery, karawele, szkunery, a nawet dwa parowce i drewniano-stalowa ka-

---

<sup>36</sup>Oryginalne „quadrumane” odnosi się zapewne do porzuconego podziału rządu naczelnych, *Quadrumana*, odróżniającego małpy od „dwurękich” ludzi (*Bimana*).

nonierka z poprzedniego wieku; ale statków z ostatnich czasów było najmniej. Najstarsze rzadko kiedy potrafilimy nazwać lub określić ich kraj pochodzenia. I wszystkie te porzucone okręty zamieniały się powoli w skamieniałości lub pokarm dla morskiej flory i fauny, czekając spokojnie na rozpad i rozproszenie, które są końcem wszelkich przedmiotów nieożywionych, choćby i służyły najwyższemu celom.

Przez dwa pierwsze dni przenosiliśmy żywność i sprzęt z jachtu do domu, sprawdzając czy wszystko jest w należytym stanie i przygotowując ładunek do przeniesienia, w dwóch etapach i kilku wycieczkach, do chatek w Bazie. Wszyscy razem, to znaczy nasza ósemka z pomocą „kapitana” i trzech marynarzy, poradziliśmy sobie z tym całkiem szybko. Pierwszy etap podróży, na który potrzeba jednego dnia, miał porządny szlak i mogliśmy wykorzystać wielkie, brązowe i żrzeczne osły tej krainy; dalej wszystko musiało być niesione przez ludzi. Musieliśmy więc wynająć osły i zatrudnić tragarzy. Problem pieniędzy, który tak nas trapił, został przynajmniej chwilowo rozwiązany tuż po przybyciu. Przewodnik, który nas przyjął, wręczył nam, awansem, sakwę metalowych zetonów, które służą tu do wymiany dóbr i usług. Tak jak się spodziewaliśmy, żadna z naszych walut nie była tutaj w obiegu. Każdy nowo przybyły, lub grupa przybyłych, otrzymuje tego rodzaju zaliczkę na pokrycie wstępnych wydatków, którą zobowiązuje się spłacić w trakcie swojego pobytu na kontynencie Góry Analog. Ale spłacić jak? Jest kilka możliwości, a ponieważ kwestia pieniądza leży u podstaw ludzkiej egzystencji i życia społecznego w osadach wzdłuż wybrzeża, powinienem podać kilka dodatkowych szczegółów w tym temacie.

Można tu napotkać, bardzo rzadko na niższych stokach, a tym częściej im wyżej się wspinać, przezroczysty i niebywale twardy kamień, sferyczny i różnej wielkości – prawdziwy kryształ, z zupełnie niezwykłego materiału, nieznanego nigdzie indziej na całej planecie: kryształ zakrzywiony! Nazywa się go, we francuskim Małpiego Portu, it péradam. Ivan Lapse wciąż głowi się nad etymologią i podstawowym znaczeniem tego wyrazu. Może chodzić, jego zdaniem, o „twardszy niż diament”, co się zgadza, lub o „ojciec diamentu”, niektórzy twierdzą,

że diament jest w rzeczywistości produktem rozpadu peradamu przez rodzaj kwadratury koła, lub ściślej kubatury kuli; możliwe też, że słowo to znaczy „kamień Adama”<sup>37</sup>, nawiązując do jakiegoś tajemnego i głębokiego sprzężenia z pierwotną naturą człowieka. Kamień ten jest tak idealnie przezroczysty, a jego współczynnik załamania tak bliski współczynnikowi powietrza, mimo wielkiej gęstości kryształu, że nieprzygotowane oko prawie go nie dostrzega; ale każdemu, kto szuka go ze szczerym pragnieniem i prawdziwą potrzebą, jawi się on błyszcząc iskrami podobnymi do kropel rosy. Peradam jest jedyną substancją, jedyną materialną rzeczą, którą uznają za wartościową przewodnicy Góry Analog. Jest wzorcem wszelkich walut, jak u nas złoto.

Jedyną uczciwą formą spłaty swojego długu są peradamy. Ale peradamy są rzadkie, poszukiwanie ich jest trudne, a nawet niebezpieczne, bo trzeba nieraz wyciągnąć kryształ ze szczeliny na ścianie przepaści lub wyłuskać go z nachylonego lodowego nawisu, w którym utkwiał na samym brzegu rozpadliny. Wobec czego, nieraz po całych latach usiłowań, wielu ludzi zniechęca się, wraca nad morze i szuka tu łatwiejszych sposobów zarobienia na spłatę długu. Bo można go zwrócić po prostu w zetonach, które zarabia się zwykłą pracą. Jedni zostają rolnikami, inni rzemieślnikami, dokerami; i nie powiemy o nich złego słowa, bo to dzięki nim mogliśmy zaopatrzyć się, wynajając muły i zatrudnić tragarzy.

– A jeśli nie uda się spłacić długu? – zapytał Beaver.

– Gdy hoduje się kurczęta – odpowiedziano mu – karmi się je ziarnem, aby wyrosły na nioski i mogły odwdzięczyć w postaci jaj. Gdy jednak kura osiąga odpowiedni wiek, ale nie niesie – co się z nią dzieje?

I każdy z nas po cichu przełknął ślinę.

Trzeciego dnia po przybyciu, gdy spisywałem niniejsze notatki, Judith Pancake szkicowała na progu, a Sogol męczył się z jakimś ciężkim zadaniem z optyki, pięcioro z nas rozeszło się na różne strony.

---

<sup>37</sup>Oryginalne wyrażenia, na których lepiej widać podobieństwo, to: „plus dur que le diamant”, „père du diamant” oraz „pierre d'Adam”.

Moja żona poszła na zakupy eskortowana przez Hansa i Karla, którzy po drodze podjęli się dialektycznego ataku, ciężkiego do nadążenia, na okrutne pytania metafizyki i meta-matematyki; szło głównie o krzywiznę czasu i krzywiznę liczb – czy mogła istnieć ostateczna granica wyliczania rzeczywistych i pojedynczych obiektów, po której raptownie natrafiało się na jedność (według Hansa) lub całość (według Karla)? W każdym razie dotarli do domu wielce podnieceni, ledwo zwracając uwagę na kilogramy wiktuałów, które przynieśli na plecach: warzywa i owoce – znane i nieznanie nam, jako że osadnicy zaaklimatyzowali gatunki ze wszystkich kontynentów – nabiał, ryby i wszelkiego rodzaju świeże jedzenie mile widziane po długiej morskiej podróży. Sakwa żetonów była pękata i nie martwiliśmy się wydatkami. A do tego, jak powiedział Ivan Lapse – co potrzebne, to potrzebne.

Lapse przechadzał się po wiosce zagadując spotkanych, aby wybadać miejscową mowę i zwyczaje towarzyskie. Przedstawił nam zajmujące sprawozdanie, ale to co stało się z nami po obiedzie, pozbawiło mnie wszelkiej ochoty i konceptu na opisywanie jego odkryć. Ale trudno! Ochoty brak, ale nie piszę dla własnej przyjemności, a niektóre szczegóły mogą być tu pomocne i Wam.

Życie ekonomiczne w Małpim Porcie jest bardzo proste, choć ożywione; zapewne niewiele różni się od życia małego miasta europejskiego przed mechanizacją, bo w tym kraju nie zezwala się na żaden rodzaj silnika, cieplnego czy elektrycznego; wszelkie użycie prądu jest zabronione, co w kraju górskim wydało nam się raczej dziwne. Zabronione są także materiały wybuchowe. Osada – w większości francuska, jak mówiłem – ma swoje kościoły, radę miejską, swoją policję; ale cała zwierzchność przychodzi z góry, to znaczy od przewodników górskich, których delegaci kierują administracją i miejską policją. Autorytet ten jest niekwestionowany, ponieważ opiera się na posiadaniu peradamów; otóż ludzie osiedli na wybrzeżu posiadają jedynie żetony, które umożliwiają im wszelki handel niezbędny do materialnej egzystencji, ale nie dają żadnej faktycznej władzy. Powtórzę, że nie jest naszym zamiarem krytykować tych ludzi, którzy zniechęceni trudnościami wspinaczki, zamieszkali nad morzem lub u stóp

góry i tam wiodą życie; dzięki nim, dzięki ich pierwotnemu wysiłkowi, jakim było dotarcie tu, ich dzieciom oszczędzona jest przynajmniej ta podróż. Rodzą się na wybrzeżu Góry Analog, niewystawione na szkodliwe działanie zdegenerowanych kultur kwitnących na naszych kontynentach; mają kontakt z ludźmi z gór i gotowe są, jeżeli najdzie ich to pragnienie, a umysł obudzi, podjąć wielką podróż w miejscu, w którym porzucili ją ich rodzice.

Większość populacji jednak zdaje się mieć inne pochodzenie. To potomkowie załóg statków – niewolników i żeglarzy ze wszelkich epok – kierowanych tu od najdawniejszych czasów przez poszukiwaczy Góry Analog. Wyjaśniało to liczne w kolonii grupy etniczne, wśród których można było odnaleźć typy afrykańskie i azjatyckie, a nawet pewne wymarłe już rasy. Ponieważ kobiety musiały należeć do rzadkości we wczesnych ekspedycjach, należy przypuszczać, że harmonijne prawa natury powoli przywróciły równowagę, kompensując tę rozbieżność nadmiarem narodzin kobiet. W tym co mówię jest, poniekąd, wiele domysłów.

Zgodnie z tym, co opowiedzieli Lapse'owi mieszkańcy Małpiego Portu, życie w innych miastach nadmorskich jest bardzo podobne, z wyjątkiem tego, że każdy naród sprowadził tu swoje tradycje, zwyczaje i język. Jednak od niepamiętnych czasów pierwszych przybyszy języki ewoluowały w szczególny sposób pod wpływem przewodników górskich – którzy mają swój specjalny język – a pomimo napływu współczesnych kolonistów; na przykład francuski używany w Małpim Porcie miał sporo osobliwości, archaizmów, zapożyczeń, a także słów ukutych na nowe rzeczy, jak wspomniany „peradam”. Te zaszłości miały zostać wyjaśnione później, gdy zapoznaliśmy się bliżej z językiem samych przewodników.

Arthur Beaver, zaintrygowany florą i fauną regionu, wrócił ruminacji z długiego spaceru na wieś. Umiarkowany klimat Małpiego Portu sprzyja rozwojowi roślin i zwierząt z naszych krajów, ale można spotkać i nieznanne gatunki. Wśród nich znajdujemy takie ciekawostki jak powój nadrzewny, którego siła kiełkowania i wzrostu jest tak wielka, że używa się go – jak powolnego dynamitu – do usuwania

głazów przy robotach ziemnych; lycopendron samozapalany, ogromna purchawka, która otwierając się, rozrzuciła dojrzałe spory na wielką odległość, a po kilku godzinach, na skutek intensywnej fermentacji, nagle stawała w płomieniach; mówiący krzew, rzadka i delikatna roślina, której owoce tworzyły rezonujące tykwy różnorodnych kształtów i wydawały wszelkie możliwe ludzkie dźwięki pod wpływem tarcia liści, powtarzając jak papugi to, co przy nich mówiono; obręczak, rodzaj krocionoga dwumetrowej długości, który lubi zwijać się w okrag i staczać z pełną prędkością po piargowych zboczach; jaszczurka cyklopie, przypominająca kameleona, ale z jednym, wytrzeszczonym okiem na czole, a z dwoma pozostałymi w zaniku, zwierze otoczone sporym szacunkiem, mimo że sprawia wrażenie starego nauczyciela heraldyki; a na koniec przytoczmy jeszcze gąsienicę balonową<sup>38</sup>, rodzaj jedwabnika, który przy dobrej pogodzie wytwarza przez kilka godzin lekkie gazy w jelitach, nadmuchując okazały bąbel, który unosi go w powietrze; nie osiąga nigdy pełnej dojrzałości i rozmnaża prymitywnie przez larwalną partenogenezę.

Czy te zadziwiające gatunki dostały się tutaj w odległych czasach wraz z osadnikami z innych rejonów Ziemi, czy były prawdziwie rodzimymi formami życia na kontynencie Góry Analog? Beaver nie był w stanie tego ustalić. Stary Breton, znany stolarz w Małpim Porcie, opowiedział mu i zaśpiewał stare legendy – amalgamat, wydawało się, cudzoziemskich mitów i nauk przewodników – które dotyczyły tego tematu. Gdy pytaliśmy potem przewodników, do jakiego stopnia można wierzyć w te legendy, dostawaliśmy zawsze wymijające odpowiedzi; „są równie prawdziwe” powiedział nam jeden z nich „jak wasze baśnie i teorie naukowe”; „nóż” rzekł inny „nie jest ani prawdziwy ani fałszywy. Ale kto próbuje go chwycić za ostrze, jest w błędzie”.

Jeden z mitów brzmiał mniej więcej tak.

*Na początku Sfera i Tetraedr były połączone w jednej Formie – niepojmowalnej i niewyobrażalnej. Kompresja i Ekspansja tajemniczo połączone w jednej Woli, która nie wyrażała niczego oprócz swojego*

---

<sup>38</sup>Lub: aeronautyczną.

*istnienia.*

*Nastąpiło rozdzielenie, ale Jedyne pozostaje jedynym.*

*Sfera była pierwotnym Człowiekiem, który, chcąc zrealizować osobno wszystkie swoje pragnienia i możliwości, rozpadł się na postaci wszystkich zwierząt i obecnych ludzi.*

*Tetraedr był pierwotną Rośliną, która podobnie zrodziła wszystkie rośliny. Zwierzę, zamknięte na zewnętrzną przestrzeń, draży i rozgałęzia się wewnątrz – płuca, wnętrzności – aby przyjąć pożywienie, przetrwać i rozmnożyć. Roślina rozkwita w stronę przestrzeni, rozgałęzia na zewnątrz, aby przeniknąć pożywienie – korzenie, liście.*

*Kilkoro ich potomków wahało się lub chciało należeć do obydwu światów: były to roślino-zwierze zaludniające morza.*

*Człowiek otrzymał tchnienie i światło; tylko on otrzymał to światło. Chciał je zobaczyć i cieszyć się nim pod wieloma postaciami. Został wygnany przez moc Jedności. Tylko on został wygnany.*

*Odszedł, by zaludnić lądy Zewnętrza – cierpiąc, rozdzielając i rozprzestrzeniając się – pragnął wciąż ujrzeć swoje światło i cieszyć się nim.*

*Czasami człowiek korzy się w sercu, poddaje widzialne widzącemu i stara się wrócić do swojego źródła.*

*Szuka, znajduje i wraca do źródła.*

Niezwykła struktura geologiczna kontynentu nadała mu dużą różnorodność klimatyczną – trzy dni marszu z Małpiego Portu zawiodłoby nas do dżungli w jednym kierunku, na lodowiec w drugim, gdzie indziej na step lub piaszczystą pustynię; każda kolonia powstała w miejscu najbardziej przypominającym ziemię rodzinną.

Tak dalekie wycieczki Beaver miał jeszcze przed sobą. Karl proponował zbadać przez następne dni początki kultur azjatyckich, których dopatrywał się we fragmentach mitów zebranych przez Beavera. Na pobliskim wzgórzu Hans i Sogol chcieli wybudować małe obserwatorium, z którego, przy panującej w krainie specyficznej optyce, mieli nadzieję dokonać klasycznych pomiarów względem głównych gwiazd: paralaks, odległości katowych, przejść przez południk, spektroskopii i

tym podobnych; wszystko to, aby móc ściśle wnioskować o anomaliach na sferze niebieskiej wywołanych skorupą zakrzywionej przestrzeni otaczającą górę Analog. Ivan Lapse planował kontynuować lingwistyczne i socjologiczne dochodzenia. Moja żona paliła się, aby poznać życie religijne kraju, modyfikacje (szczególnie oczyszczenie i wzbogacenie) wniesione pod wpływem Góry Analog do różnych kultów – czy to w dogmaty, czy w etykę, w rytuały, muzykę liturgiczną, w architekturę czy też inne sztuki religijne. Miss Pancake miała pracować z nią, szczególnie w obrębie sztuk plastycznych, jednocześnie kontynuując własne wielkie dzieło: szkiców dokumentalnych, które nabrały nowego znaczenia dla ekspedycji, po niespodziewanym niepowodzeniu wszelkich prób fotograficznych. Ze swojej strony spodziewałem się czerpać z materiałów zgromadzonych przez współtowarzyszy, aby pogłębić moją analizę zagadnień symboliki, nie zaniedbując jednak mojej głównej roli, którą była redakcja dziennika wyprawy. Dziennik ten skrócony został później do opowieści, którą czytelniczka ma przed sobą.

Realizując te zajęcia, planowaliśmy wykorzystać je do pozyskania większej ilości zapasów, być może prowadzenia interesu, aby, krótko mówiąc, nie tracić czasu.

– Kiedy więc wyruszacie? – krzyknął głos na ulicy, gdy po obiedzie rozprawialiśmy o wszystkich tych pasjonujących projektach.

To przewodnik przypisany do Małpiego Portu rzucał nam wyzwanie i nie czekając na odpowiedź, szedł dalej spokojnym krokiem górala, który wydaje się ledwo poruszać.

Wyrwało nas to z rozmarzań. Nie postawiliśmy nawet pierwszych kroków, a już osuwaliśmy się ku porzuceniu – tak, porzuceniu, bo poświęcanie choćby jednej minuty, by zaspokajać próżną ciekawość, było zaniechaniem naszego celu i złamaniem danego słowa. Jakże nędzny zdał nam się nagle entuzjazm badawczy i zręczne preteksty, które dla niego wynaleźliśmy. Nie byliśmy w stanie na siebie spojrzeć. Sogol warknął głucho:

– Przybijmy tę paskudną sowę do drzwi i odejźmy nie oglądając się!



Znaliśmy wszyscy doskonale tę okropną sowę intelektualnej chciwości, a każde z nas miało swoją sowę do przybicia, nie wspominając o świergoczających srokach, paradujących indykach, gruchających gołębiach i gęsiach, spasionych gęsiach! Ale całe to ptactwo jest tak trwale zakotwiczone, wczepione w ciało, że nie sposób go wydobyć bez rozdzierania własnych wnętrzności. Długo trzeba było żyć z nimi, ścierpieć je, poznać, aż nie odpadły jak strupy po wysypkowej chorobie – samoistnie, gdy organizm wyzdrowieje, źle jest zrywać je przedwcześnie.

Czterej członkowie naszej załogi, siedząc w cieniu sosny, grali w karty; a jako że nie mieli najmniejszego zamiaru wspinać się na szczyt, ich sposób spędzania czasu wyglądał całkiem rozsądnie w porównaniu do naszego. Mieli jednak towarzyszyć nam do Bazy i pomóc w zakwaterowaniu się tam, więc przywołaliśmy ich, aby rozpocząć przygotowania do wyjścia. Postanowiliśmy za wszelką cenę wyruszyć następnego dnia.

Łatwo powiedzieć – za wszelką cenę. Następnego ranka, po całej nocy krzątania nad załadunkiem, wszystko było gotowe, osły i tragarze w oczekiwaniu, ale zaczął padać deszcz. Padało całe popołudnie, kolejną noc, padało przez następny dzień; lało jak z cebra przez pięć dni. Powiedziano nam, że drogi i szlaki na pewno będą nie do użytku.

Tę zwłokę trzeba było dobrze wykorzystać. Najpierw dokonaliśmy przeglądu sprzętu. Wszystkie instrumenty pomiarowe, które uprzednio wydawały nam się najcenniejsze, teraz wyglądały niedorzecznie – szczególnie po nieudanych próbach fotograficznych – a niektóre urządzenia okazały się bezużyteczne. Baterie w naszych latarkach nie działały i musiały być zastąpione lampami. Pozbyliśmy się w ten sposób sporej części ekwipunku, co pozwoliło zabrać więcej prowiantu.

Przeszukaliśmy sąsiedztwo, żeby zdobyć dodatkową żywność, lampiony i ubrania. Były one, choć całkiem proste, znacznie lepsze od naszych dzięki wieloletniemu doświadczeniu osadników. Podobnie znaleźliśmy w wyspecjalizowanych sklepach wszelkiego rodzaju suszone i skondensowane jedzenie, które okazało się bardzo cenne. Eliminowaliśmy jeden wynalazek po drugim i zostawiliśmy nawet „prze-

nośne ogródki” Beavera, który po kilku dniach ponurego wahania wybuchnął śmiechem i oznajmił, że są „głupimi zabawkami, które dostarczyłyby tylko utrapienia”. Dłużej wahał się nad aparatami oddechowymi i ogrzewającą odzieżą. Ostatecznie postanowiliśmy je zostawić, a ewentualnie wrócić po nie w drugim podejściu, gdy zajdzie potrzeba. Pozostawiliśmy to wszystko pod pieczę naszych marynarzy, którzy przenieśli sprzęt na jacht, gdzie mieli mieszkać – domek trzeba było zwolnić dla potencjalnych nowych przybyszy. Kwestia aparatów oddechowych była przedmiotem wielu dyskusji. Czy wchodząc na wyższe etapy, powinniśmy polegać na butlach z tlenem, czy na własnych zdolnościach do adaptacji? Ostatnie ekspedycje w Himalaje problemu nie rozwiązały, pomimo doniosłego sukcesu zwolenników aklimatyzacji. Do tego nasze urządzenia były znacznie bardziej zaawansowane niż te użyte we wspomnianych wyprawach; były lżejsze i bardziej skuteczne, bo dostarczały alpiniście nie czystego tlenu, ale starannie dobraną mieszankę tlenu i dwutlenku węgla; obecność tego drugiego, pobudzając centra oddechowe, miała wyraźnie zmniejszyć zapotrzebowanie na tlen. Ale w miarę gdy rozważaliśmy i zbieraliśmy informacje o naturze gór, w które się wyprawialiśmy, stawało się coraz bardziej pewne, że nasza ekspedycja będzie długa, bardzo długa; na pewno potrwa lata. Nasze butle z tlenem nie wystarczą, a nie będzie możliwości napełnić ich ponownie na wysokości. Wcześniej czy później będzie je trzeba porzucić, więc równie dobrze możemy to zrobić od razu, by nie opóźnić procesu aklimatyzacji. Zapewniono nas ponadto, że nie ma innego sposobu przetrwania w wyższych partiach gór niż stopniowa adaptacja, dzięki której, jak nam powiedziano, ludzki organizm dostosowuje się w stopniu, którego nie mogliśmy jeszcze podejrzewać.

Za radą głównego tragarza wymieniliśmy nasze narty, które byłyby uciążliwe na pewnych wyboistych przejściach, na wąskie, giętke rakiety opięte skórą pewnego rodzaju świstaka; głównie ułatwiają one poruszanie się po głębokim śniegu, ale dodatkowo można się na nich szybko ślizgać po stokach; złożone łatwo mieszczą się w plecaku. Zatrzymaliśmy prowizorycznie nasze buty z ćwiekami, ale na

później zabraliśmy tutejsze mokasyny wykonane z „drzewnej skóry”, rodzaju kory, która odpowiednio traktowana, zachowuje się jak korek i kauczuk; substancja ta świetnie izoluje, a inkrustowana krzemionką przywiera do lodu prawie tak dobrze jak do skały, co pozwoliło nam pozbyć się raków, niebezpiecznych na dużych wysokościach przez uciśkające stopy sznury, które ograniczają krążenie krwi i narażają na odmrozenia. Zabraliśmy za to czekany, piękne narzędzia, których, podobnie jak na przykład kosy, nie dałoby się już bardziej ulepszyć; również haki i jedwabne liny oraz, mimo wszystko, parę kieszonkowych urządzeń jak busole, wysokościomierze i termometry.

Wdzięczni byliśmy tej ulewie, która pozwoliła nam na tak pożyteczny przegląd naszego sprzętu. Każdego dnia dużo chodziliśmy w strugach deszczu, aby zebrać informacje, jedzenie i inne rzeczy; dzięki temu nasze nogi odzyskały pełną sprawność, trochę zaniedbaną w długiej żegludze.

To w trakcie tych deszczowych dni zaczęliśmy zwracać się do siebie po imieniu. Zapoczątkował to był zwyczaj, który mieliśmy już wcześniej, mówienia „Karl” i „Hans”, ale ta zmiana nie była wynikiem jedynie zażyłości. Mówiliśmy teraz do siebie Judith, Renée (moja żona), Pierre, Arthur, Ivan, Theodore (to moje imię), a dla każdego istniał po temu inny powód. Zrzucaliśmy swoje dotychczasowe maski. Porzucając zawadzające akcesoria na wybrzeżu, jednocześnie przygotowywaliśmy się do zarzucenia artystki, wynalazcy, lekarza, erudyty, literata. Spod tych przebrań, kobiety i mężczyźni wystawili już czubek nosa. Kobiety, mężczyźni i wszelkiego rodzaju zwierzęta.

Raz jeszcze Pierre Sogol dał nam przykład – nieświadomie i nie podejrzewając, że kryje się w nim poeta. Pewnego wieczora na plaży, gdy odbyliśmy naradę z naczelnym tragarzem i poganiaczem osłów, powiedział:

– Przeprowadziłem was tutaj, byłem waszym przywódcą. Tutaj ściągam tiarę, która była koroną cierniową dla wspomnienia, jakie mam o sobie. W głębi, nie poruszone tym wspomnieniem, budzi się dziecko, zmuszając maskę starca do płaczu. Małe dziecko, które szuka ojca i matki, które razem z wami szuka ochrony i pomocy; ochrony

przed przyjemnościami i fantazjami, pomocy by stać się tym, kim jest, nie naśladować nikogo.

Przemawiając, Pierre dłużej w piasku końcem kija. Jego oczy zatrzymały się nagle, schylił się, by coś podnieść – coś co lśniło jak maleńka kropla rosy. Był to peradam, bardzo mały, ale jego – i kogokolwiek z nas – pierwszy peradam.

Brygadier i poganiacz pobledli z szeroko otwartymi oczami. Obydwaj już starzy, próbowali niegdyś wspinaczki, ale zniechęcili się z powodu braku środków.

– Nigdy – rzekł tragarz – nigdy, jak ludzka pamięć sięga, nie znaleziono żadnego tak nisko! Na samej plaży! Może to wyjątkowy przypadek. A może to znak mający dodać nam nadziei? By spróbować raz jeszcze?

Nadzieja, którą miał za martwą, rozbłysła w jego sercu. Pewnego dnia znowu wyruszy w drogę. Oczy poganiacza również błyszczały – ale z zazdrości.

– Przypadek, czysty przypadek! Nie dam się drugi raz nabrać!

– Powinniśmy – powiedziała Judith – uszyć sobie solidne saszetki, które będziemy nosić na szyi, a w nich peradamy, które znajdziemy.

Był to rzeczywiście niezbędny środek ostrożności. Deszcz przestał padać poprzedniego dnia, a drogi zaczynały schnąć w słońcu, mieliśmy wyruszyć nazajutrz o świcie. Ostatnim, co każdy z nas pieczołowicie przygotował przed snem, były sakiewki na przyszłe peradamy.

## KTÓRY JEST TYM O ROZBICIU PIERWSZEGO OBOZU

*Chatka w Bazie – Powitanie w drugim obozie – Szlak wciąż się zmienia – Zapasy dla poprzedniej karawany – Polowanie (wyżej zabronione: równowaga biologiczna) – Historia brygadzysty – Druga ekspedycja: cień naszej – Zniknięcie Diany – Wskazówki przewodników: znane, ale z nowym znaczeniem – „Lornetka odkrzywiająca” – Obserwacje...*

C IEMNOŚĆ nocy oplatała nas jeszcze, gdy leżeliśmy pod jodłami, których wierzchołki kreśliły swe szpiczaste pismo na jaśniejącym już niebie; chwilę później, niżej pomiędzy pniami, zaróżowiło się i kilku z nas zobaczyło jak niebo pokrywa się spranym błękitem oczu naszych babci. Stopniowo z mroku wyłaniała się gama zieleni, czasem buk ożywiał zapach żywicy, a czasem ożywiał zapach grzybów. Z dźwiękiem grzechotek, szemrzącego strumyka, brzęku monet lub fletu ptaki wymieniały poranne plotki. Maszerowaliśmy w milczeniu. Dziesięć osłów, trzech poganiaczy i piętnastu tragarzy składało się na długą karawanę. Każdy z nas niósł swoją dzienną porcję jedzenia i rzeczy osobiste. Kilkoro z nas dźwigało te dość ciężkie rzeczy osobiste w sercu lub w głowie. Szybko wpadliśmy w powściągliwy górski krok, który dobrze jest przyjąć od początku, jeżeli planuje się długo maszerować bez zmęczenia. Idąc, przypominałem sobie ciąg zdarzeń, który mnie tu doprowadził – od artykułu w *Revue des Fossiles* i pierwszego spotkania z Sogolem. Na szczęście osły wyszkolono, by nie szły zbyt szybko; przypominały mi te z Bigorre<sup>39</sup> i dodawało mi sił patrzeć na płynną grę ich mięśni, niezakłóconą zbytecznymi skurczami. Myślałem o czwórce dezertarów, którzy wymówili się z udziału w ekspedycji. Jakże daleko byli wszyscy, Julie Bonasse, Emile

---

<sup>39</sup>Region południowozachodniej Francji.

Gorge, Cicoria i ten dzielny Alphonse Camard, ze swoimi wędrownymi pieśniami! To był już inny świat. Śmiać mi się chciało z tych przyśpiewek na drogę. Tak jakby górale śpiewali w trakcie marszu! Owszem, czasami śpiewa się, po kilku godzinach na stromym piarżysku lub łące – ale każdy dla siebie i przez zaciśnięte zęby. Ja na przykład śpiewam: „tjak! tjak! tjak!” – jeden „tjak” na każdy krok; w śniegu, około południa, zamienia się to w: „tjak! czy czy tjak!”. Kto inny śpiewa: „stum! di di stum!” lub: „dzii... pof! dzii... pof!”. To jedyny rodzaj pieśni na wspinaczkę, który znam.

Nie było już widać ośnieżonych szczytów, a tylko porośłe lasami zbocza, przecinane wapiennymi klifami i potok w dolinie na dole z prawej strony, gdy przerzedzały się drzewa. Na ostatnim zakręcie ścieżki ocean, którego horyzont wznosił się razem z nami, znikł z pola widzenia. Posiliłem się podgryzając sucharki. Osioł odganiał ogonem stado much prosto w moją twarz. Moi towarzysze byli równie zamysłeni co ja. W końcu wylądowaliśmy na kontynencie Góry Analog z zastanawiającą łatwością; wciąż wydawało się pewne, że oczekiwano nas. Spodziewałem się, że wszystko wyjaśni się w swoim czasie. Bernard, brygadzysta tragarzy, był zajęty własnymi myślami tak jak pozostali, ale nie tak rozkojarzony. Bo naszą uwagę co chwilę przykuwała niebieska wiewiórka, czerwonoooki gronostaj wyprostowany jak kolumna na środku szmaragdowej polany upstrzonej krwistymi muchomorami, stado jednorożców – które wzięliśmy wpierw za kozice – skaczących nad zwietrzałym występem skalnym na przeciwległym zboczu, lub latająca jaszczurka, która śmigła przed nami z drzewa na drzewo, kłapiąc zębami. Oprócz Bernarda, wszyscy zabrani przez nas ludzie mieli ze sobą krótkie rogowe łuki i pęki krótkich strzał bez piór. Na pierwszym dłuższym postoju, około południa, trzej czy czterej z nich poszli do lasu i wrócili z kilkoma kuropatwami i jakiegoś rodzaju przerośniętymi świnkami morskimi. Jeden powiedział mi: „Trzeba korzystać póki się da. Zjemy je dziś wieczorem. Wyżej nie wolno polować”.

Ścieżka wyszła z lasu i wiała się w dół przez słoneczne polany do górskiego potoku, którzy mamrotał i chichrał się jak ożywiony tłum.

Przeszliśmy brodem, płosząc chmary opalizujących motyli z mokrego brzegu i weszliśmy na długi kamienny odcinek bez skrawka cienia. Wróciliśmy na prawy brzeg, gdzie zaczynał się jasny las modrzewiowy. Pociłem się i śpiewałem moją górską piosenkę. Wydawali się coraz bardziej zamyśleni, choć w rzeczywistości było odwrotnie. Ścieżka pięła się stromo po skalnej półce i skręcała w prawo, gdzie dolina zwiężała się do ciasnego wąwozu; a szlak bezlitośnie wdrapywał się dalej, zakręcając w tę i z powrotem w zaroślach jałowca i rododendronu. Wyszliśmy wreszcie na wysokie pastwisko przecięte siatką strumyczków, na którym pasło się cichutko kilka małych, pulchnutkich krów. Po dwudziestu minutach marszu przez podmokłą trawę dotarliśmy do skalnego płaskowyzu ocienionego przez małe modrzewie, gdzie wzniesiono kilka kamiennych konstrukcji przykrytych z grubsza gałęziami; tu kończył się pierwszy etap. Zostało nam jakieś dwie, trzy godziny światła, żeby się urządzić. Jedno schronienie przeznaczone było na bagaż; inne służyło do spania – z drewnianą podłogą, świeżą słomą i kamiennym paleniskiem; trzecie, ku naszemu zaskoczeniu, okazało się mleczarnią: słoje mleka, kostki masła i ociekające sery zdawały się czekać tu właśnie na nas. Czy to miejsce było zamieszkałe? Bernard w pierwszej kolejności zlecił swoim ludziom złożyć łuki i strzały w rogu wybranej chaty, razem z procami, które mieli niektórzy; podszedł do nas i wyjaśnił:

– Było zamieszkane jeszcze tego ranka. Zawsze musi tu być ktoś, kto zajmie się krowami. To zasady, które wyjaśnią wam wyżej; żadne schronisko nie może pozostać niezamieszkałe dłużej niż przez jeden dzień. Poprzednia karawana prawdopodobnie zostawiła tu kilku ludzi, a oni czekali na nasze przybycie, aby móc iść dalej. Widzieli z daleka jak nadchodzimy i od razu wyruszyli. Damy im znać, że dotarliśmy i od razu pokażę wam początek szlaku do Bazy.

Poszliśmy za nim przez kilka minut wzdłuż szerokiej skalnej półki, aż do platformy, z której ujrzeliśmy początek doliny. Był to rodzaj nieregularnego górskiego kotła, z którego wychodził nasz wąwóz, otoczonego wysoką ścianą, z której wierzchołków wisiały tu i tam języki lodowców. Bernard rozpałił ogień, rzucił nań trochę mokrej

trawy i wpatrywał się w głąb kotła. Po kilku chwilach zauważyliśmy jak w oddali wznosi się w odpowiedzi sygnał w postaci cienkiej smugi białego dymu, ledwo odróżnialny od powłóczystej piany wodospadów.

W górach człowiek staje się wyczulony na każdy objaw ludzkiej obecności. Ale ten sygnał był dla nas szczególnie wzruszający, to powitanie od nieznamytnych maszerujących przed nami tą samą ścieżką; bo łączyła ona nasze losy, nawet jeżeli mieliśmy się nigdy nie spotkać. Bernard nie wiedział nic o tamtej grupie.

Z tego miejsca widać było prawie połowę następnego odcinka trasy. Postanowiliśmy wykorzystać dobrą pogodę i wyruszyć następnego dnia rano. Przy odrobinie szczęścia tego samego dnia, zastalibyśmy naszego przewodnika w Bazie; ale mogło też okazać się, że trzeba czekać, aż wróci z krótszej lub dłuższej wyprawy. Mieliśmy wyruszyć nazajutrz ze wszystkimi tragarzami, nie licząc dwóch, którzy zostaliby zająć się krowami, podczas gdy poganiacze z osłami zeszliby po następną partię naszego ładunku. Szacowaliśmy, że wystarczy osiem kursów, żeby przenieść nasze zapasy i ubrania z nadmorskiego domu na Polny Ruczaj – tak nazywał się pierwszy obóz. W tym czasie wraz z tragarzami krążylibyśmy pomiędzy Bazą a Polnym Ruczajem. Potrzeba było co najmniej trzydziestu wycieczek, z ładunkami po dzień, piętnaście kilogramów, co, biorąc pod uwagę złą pogodę, zajęłoby 2 miesiące. W ten sposób zgromadzilibyśmy w Bazie zaopatrzenie na dwa lata. Ale dwa miesiące z górskimi krowami! – najmłodszy członekowie ekspedycji zapatrywali się na to z pewnym zniecierpliwieniem.

Na platformie ledwo dawało się rozmawiać z powodu wysokiego, huczącego paręset metrów od nas wodospadu. Przez przepaść, w którą spadał wodospad, przerzucono kładkę, jeśli można ją tak nazwać, z trzech czy czterech kabli. Mieliśmy ją pokonać następnego dnia. Po tej stronie wodospadu stał duży kopiec<sup>40</sup> zwieńczony krzyżem – przydrożna kapliczka lub kurhan. Bernard spojrział na niego z dziwną powagą, ale nagle otrząsnął się z zadumy i sprowadził nas do obozu, gdzie tragarze przygotowywali posiłek. Dzięki ich pomysowości nie musieliśmy korzystać z naszych zapasów. Po drodze

---

<sup>40</sup>W oryginale: cairn.



nazbierali wspaniałych grzybów, a ze skalniaków – pączków ostu, apetycznych na surowo i po ugotowaniu. Wszystkim smakowała też dziczyzna, oprócz Bernarda, który jej nie tknął. Zauważyliśmy też, że dokładnie sprawdził, czy nikt nie dotykał złożonej po przybyciu broni. Ale dopiero po posiłku – gdy zachodzące Słońce oświetliło z dołu wierzchołki drzew – dopiero gdy siedzieliśmy wokół ogniska, podpytując go o zauważony przy wodospadzie kurhan, otworzył się przed nami.

– Mój brat – rzekł krótko. – Lepiej żebym opowiedział wam całą historię, bo prędko się nie rozstaniemy i powinniście wiedzieć, z jakiego rodzaju człowiekiem (splunął w ogień) macie do czynienia.

– Moi ludzie zachowują się jak dzieci! Narzekają na zakaz obowiązujący od miejsca, w którym jesteście. To prawda, że jest tu mnóstwo świetnej zwierzyny. Ale przewodnicy wiedzą co robią, zabraniając polowania powyżej Polnego Ruczaju. Są tego przyczyny, a ja ich doświadczyłem. Za szczura zabitego niecałe pięćdziesiąt kroków stąd straciłem cztery peradamy, z takim trudem znalezione i chronione, do tego straciłem dziesięć lat życia.

– Pochodzę z chłopskiej rodziny, która żyje w Małpim Porcie od wieków. Kilku z moich przodków poszło w góry i zostało przewodnikami. Ale moi rodzice, obawiając się, że ich opuszczę, a byłem najstarszym synem, robili wszystko co mogli, by trzymać mnie z dala od zewu gór. Nalegali wcześniej, bym się ożenił; mam na dole żonę i dorosłego już syna; sam mógłby się już spróbować wspiać i ona również. Po śmierci rodziców, gdy miałem trzydzieści pięć lat, zdałem sobie nagle sprawę z marności życia. Co teraz? Mam wychowywać syna, żeby i on mógł kontynuować tradycję i tak dalej? Po co? Nie potrafię się ładnie wyrażać, jak widzicie, a wtedy było jeszcze gorzej. A cierpienie ścisnęło mi gardło. Pewnego dnia spotkałem przewodnika górskiego przechodzącego przy okazji przez Małpi Port; przyszedł do mnie zapatrzeć się. Przyskoczyłem do niego, szarpałem za ramiona i mogłem tylko krzyknąć: „Dlaczego, dlaczego?”

– Odpowiedział mi poważnie: „To prawda, ale teraz musisz się za-

stanowić *jak?*” Rozmawiał ze mną długo, tego dnia i w kilka kolejnych. Na koniec zgodził się spotkać w następną wiosnę – a była wtedy jesień – w chatkach Bazy, gdzie miał zebrać karawanę, do której mógłbym się dołączyć. Przekonałem mojego brata, by wyruszył ze mną. On także chciał wiedzieć dlaczego i wyrwać się z okowów wybrzeża.

– Było nas dwanaście osób, a ekspedycja dotarła do pierwszego schroniska na czas, aby spędzić w nim zimę. Wróciła wiosna, a ja zszedłem do Małpiego Portu odwiedzić żonę i syna; miałem nadzieję, że przygotuje ich pójda ze mną. Pomiedzy Bazą a obozem, gdzie właśnie jesteśmy, złapała mnie burza śnieżna trwająca trzy dni. Lawiny pogrzebały szlak w dwudziestu miejscach. Przez dwie noce musiałem biwakować bez wystarczającej ilości jedzenia i paliwa. Gdy się przejaśniło, znajdowałem się sto kroków stąd. Wyczerpany i wygłodzony zatrzymałem się w obozie. Wtedy jeszcze nie było bydła na Polnym Ruczaju i nie znalazłem niczego do jedzenia. Na osuwisku przed sobą dostrzegłem wychodzącego z nory starego szczura górskiego. To coś pomiędzy myszą polną a świstakiem. Wyszedł ogrzać się w pierwszych promieniach słońca. Udanym strzałem z procy strzaskalem mu głowę, upiekłem na ogniu z rododendronów i pochłonałem łykowate mięso. Przespałem się godzinę lub dwie, a potem wróciłem do Małpiego Portu, gdzie z żoną i synem świętowaliśmy spotkanie po długiej rozłące. Ale i tego roku nie udało mi się ich namówić, by wyruszyli ze mną.

– Miesiąc później, gdy miałem wyruszać znów w góry, wezwano mnie przed trybunał przewodników górskich, bym odpowiedział za zabicie szczura. Jak się o tym dowiedzieli, nie wiem. Prawo jest nieugięte: zabroniono mi dostępu powyżej Polnego Ruczaju na trzy lata. Po tym czasie mogłem starać się o udział w pierwszej karawanie, pod warunkiem, że naprawię wszystkie szkody, które mógł spowodować mój występki. To był ciężki cios. Zmusiłem się, by ponownie funkcjonować w Małpim Porcie. Wspólnie z bratem i synem uprawiałem ziemię i hodowałem bydło, zaopatrując karawany; organizowaliśmy też tragarzy i wyprawy dochodzące do zakazanego rejonu.

W ten sposób, pracując na dole, utrzymywaliśmy kontakt z ludźmi z gór. Z czasem mojego brata również dopadło pragnienie odejścia, potrzeba wysokości, która zniewalała jak trucizna. Ale postanowił, że nie wyruszy beze mnie – że chce poczekać, aż upłynie okres mojej kary.

– Nadszedł wreszcie ten dzień! Dumnie niosłem w klatce szczura, którego z łatwością schwytałem, aby wypuścić go w miejscu, w którym zabiłem poprzedniego – w ramach „naprawy szkód”. Niestety, szkody dopiero zaczynały się pojawiać. Gdy opuszczaliśmy o świcie Polny Ruczaj, straszliwy huk wypełnił dolinę. Całe zbocze góry, którego nie przykrywał wtedy jeszcze wodospad, zapadało się i waliło, wybuchając lawinami głazów i błota. Katarakta wzburzonej wody, lodowych bloków i skał wytrysnęła z języka lodowca pokrywającego górę i wyłobila w boku góry głębokie wąwozy. Ścieżka z Polnego Ruczaju, która w tamtych czasach wspinała się, by przeciąć stok znacznie wyżej, została zniszczona na ogromnej długości. Obrywy, erupcje wody i błota, i osunięcia gruntu trwały przez kilka dni – nasza droga była całkowicie zablokowana. Karawana wróciła na dół do Małpiego Portu, aby uzupełnić ekwipunek na nieprzewidziane okoliczności i wyruszyła w poszukiwaniu nowego szlaku do Bazy wzdłuż drugiego brzegu – długa, ryzykowną trasą, na której zginęło kilku ludzi. Zabroniono mi iść dalej, dopóki komisja przewodników nie ustaliła przyczyn katastrofy. Po tygodniu wezwano mnie przed tę komisję, która oświadczyła, że jestem odpowiedzialny za tę klęskę, i że zgodnie z pierwszym orzeczeniem, muszę naprawić szkody.

– Byłem oszołomiony. Ale wyjaśniono mi jak to się stało według badań komisji. Oto co mi wyjaśnili – bezstronnie, obiektywnie i powiedziałyby dziś nawet, że z wyrozumiałością, choć w sposób kategoryczny. Stary szczur, którego zabiłem, żywił się głównie pewnym gatunkiem osy, obficie tu występującym. Ale w tym wieku szczur nie był już w stanie łapać os w locie; zjadał więc chore i niedołążne, które włóczyły się po ziemi i latały z trudem. W ten sposób usuwał osy roznoszące schorzenia i zarazki, które, genetycznie lub zakaźnie, bez jego nieświadomej interwencji, rozniosłyby groźne choroby po całej

kolonii tych owadów. Gdy szczura zabrakło, choroby rozprzestrzeniły się szybko, a następnej wiosny w całym regionie prawie nie było już os. Osy te, odwiedzając kwiaty w poszukiwaniu miodu, zapylały je. Bez os wiele roślin, które przyczyniały się znacząco do utrzymywania gruntu na miejscu

## POSŁOWIE

Tak właśnie René Daumal zatrzymał się w pół zdania piątego rozdziału *Le Mount Analogue*. Uprzejmość nie pozwoliłaby mu kazać czekać gościowi, który w kwietniu 1944 roku zapukał do drzwi tego dnia. Ostatniego, w którym trzymał w ręce pióro.

Bliski przyjaciel, A. Rolland de Renéville, nie mogąc nie zauważyć, że Daumalowi nie zostało wiele czasu, i że nie uda mu się skończyć powieści, wpadł na pomysł, aby poprosić o zarys reszty historii, pod pretekstem ciekawości swojej żony, Casildy, która przeczytała już spisane rozdziały i nie mogła doczekać się reszty. Z typową sobie mieszanką powagi i humoru René Daumal wyjawiał pokrótce swoje zamiary; słowa te na zawsze pozostały w mojej pamięci:

– W rozdziałach piątym i szóstym mam zamiar opisać ekspedycję czwórki dezenterów. Pamiętajcie, że na początku były jeszcze cztery inne postaci: Julie Bonasse, belgijska aktorka, Benito Cicoria, krawiec damski, Emile Gorge dziennikarz, i Alphonse Camard, płodny poeta – wszyscy wycofali się zanim naprawdę zaczęliśmy. W końcu jednak z kilkoma znajomymi zdecydowali się sami wyruszyć w poszukiwaniu Góry Analog, byli bowiem przekonani, że ich oszukaliśmy: że skoro zamierzaliśmy odkryć tę sławną górę, to z nadzieją znalezienia czegoś znacznie lepszego niż wyższa ludzkość. Nazywali nas z tego powodu “zgrywusami”. Myśleli, że góra skrywa ropę, złoto lub inne drogocenne złoża. Co więcej, że dostępu do niej zazdrośnie strzeże lud, który trzeba będzie ujarzmić. W efekcie, wyposażyli okręt bojowy w najnowsza i najsilniejszą broń i podnieśli kotwicę. Ich podróż pełna była perypetii, aż w końcu znaleźli Górę Analog i przygotowali się do użycia swojego uzbrojenia. Ale, jako że nie mieli pojęcia o prawach rządzących tym miejscem, dostali się w obręb nieprzemierzalnego wiru. Skazani na kręcenie się w kółko, nadal byli w stanie ostrzeliwać wybrzeże, ale wszystkie pociski wracały do nich jak bumerangi, tak że ich koniec był groteskowy.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim usposobieniem, zarazem prostym i głębokim, z jaką fantazją twórczą, René Daumal opowiadał nam

niepowodzenia tych zbłąkanych poszukiwaczy, którzy mieli okazję ujrzeć “góre, która jest drogą łączącą Ziemię z Niebem”, ale którzy nie rozumieli jej natury ani pojąć, w jaki sposób można do niej dotrzeć.

Daumal kontynuował streszczenie tego, co chciał wyrazić w ostatnim rozdziale książki:

– Pod koniec chciałbym bardzo dokładnie omówić jedno z praw Góry Analog: aby dojść na szczyt, trzeba poruszać się od schroniska do schroniska. Ale zanim wyruszy się do następnej, ma się nieunikniony obowiązek przygotowania tych, którzy przychodzą na zwalniane przez nas miejsce. Dopiero po ich przygotowaniu można kontynuować wspinaczkę. Tak że przed przejściem do następnej stacji musieliśmy schodzić<sup>41</sup>, aby przekazać nasze dotychczasowe doświadczenia innym poszukiwaczom. . .

René Daumal prawdopodobnie opisałby bardzo dokładnie, co miał na myśli przez przygotowanie. Jasne bowiem było, że w życiu codziennym poświęcił się – zapewne całkiem poważnie – temu zadaniu, przygotowując niejedną umysł do ciężkiej wspinaczki na Góry Analog.

Tytuł ostatniego rozdziału miał brzmieć:

*“A Ty, czego szukasz?”*

Jest to pytanie lepsze, bardziej niepokojące i owocne niż liczne, stereotypowe odpowiedzi na nie; pytanie, które samo z siebie, wcześniej czy później, pojawia się przed każdym z nas; traktować je poważnie to dotrzeć do drzemiącej głęboko w nas istoty i, z bólem lecz przytomnie, przysłuchiwać się jej głosowi.

U schyłku swojego krótkiego życia, choć dopiero na progu poszukiwań, René Daumal potrafił już odróżnić głosy puste od wartościowych. Chcielibyśmy wiedzieć więcej, poznać drogę, choć przerwana – właśnie dlatego, że została przerwana.

Wskazówki, którymi kierował się na niej, pozostawił nam w jasnej i zwięzłej postaci. Napiszę tak, jak on sam to wyraził w jednym z ostatnich listów, które do mnie wysłał:

---

<sup>41</sup>Zdaniem tłumacza wydania angielskiego, Daumal mógł tutaj mieć na myśli własną książkę, jako przygotowanie innych.

“Tak podsumowuję to, co chciałbym przekazać pracującym tu ze mną:

Jestem martwy, bo nie mam pragnień;  
 Nie mam pragnień, bo myślę, że posiadam;  
 Posiadam, bo nie próbuję dawać;  
 Próbując dawać, widzisz, że niczego nie masz;  
 Widząc, że niczego nie masz, chcesz dać siebie;  
 Chcąc dać siebie, rozumiesz, że jesteś niczym;  
 Widząc, że jesteś niczym, pragniesz stać się;  
 Pragnąc stać się, zaczynasz żyć.”

VÉRA DAUMAL

## NOTATKI

znalezione wśród papierów autora<sup>42</sup>

*Przedmowa.* – Moje pierwsze zetknięcie z górami jest ciągle świeże. Jestem początkującym. Ale wrodzona skłonność do obserwacji i rzetelnego wysiłku, jak i pewnie inne warunki, często pozwoliły mi na przyswojenie sobie w jeden dzień doświadczeń, które innym zabierają kilka tygodni. A ponieważ mówię jako początkujący, z pierwszymi trudnościami wciąż żywymi w pamięci, uwagi te mogą być bardziej przydatne dla początkujących przy pierwszych podejściach niż podręczniki pisane przez fachowców. Bez wątpienia ich dzieła są bardziej systematyczne i pełniejsze, ale ciężiej je śledzić dopóki nie ma się choć odrobiny wstępnego doświadczenia. Cały zamysł tych notatek to pomóc początkującemu nabyć to wstępne doświadczenie odrobinę

<sup>42</sup>Opracowane na podstawie wydania angielskiego.

szybciej.

Definicje. – *Alpinizm* to sztuka wspinania się po górach w taki sposób, aby stawić czoła największemu ryzyku z najwyższym rozsądkiem.

*Sztuka* oznacza tutaj wiedzę realizowaną w działaniu.

Nie można zostać na szczycie na zawsze; trzeba w końcu zejść. . . Więc po co w ogóle się trudzić? Po prostu: to co jest powyżej, wie o tym co poniżej, ale to co poniżej, nie wie co jest powyżej. Wspinając się, zwracaj zawsze uwagę na napotymane trudności; bo wchodząc, możesz je obserwować. Schodząc, nie będziesz ich już widziała, ale będziesz wiedziała, że nadal tam są, jeżeli dobrze się im przyjrzałaś.

Wspinając się, widzimy. Schodząc, już nie widzimy, lecz ujrzeliśmy. Istnieje sztuka poruszania się na nizinach, pamiętając o tym, co się widziało na wysokości. Gdy już się nie widzi, można przynajmniej wiedzieć.

Spytałem go – co rozumiesz przez “wspinaczkę analogiczną”?

– To sztuka. . .

– Czym jest sztuka?

– Wartość niebezpieczeństwa:  
zuchwałość → samobójstwo.

W skrócie, rozczarowanie.

– Czym jest niebezpieczeństwo?

– Czym jest rozsądek?

– Czym jest góra?

Z butami, w odróżnieniu od stóp, człowiek się nie rodzi. Możesz więc wybrać, co Ci się podoba. Z początku niech prowadzą Cię ludzie z doświadczeniem, później Twoje własne doświadczenie. Niedługo tak się do swoich butów przyzwyczaisz, że każdy kolec będzie jak własny palec zdolny wyczuć skałę i trzymać się jej. Staną się czułym i godnym zaufania narzędziem, jak część Ciebie. A jednak nie rodzimy



się z nimi; gdy się zużyją, wyrzucisz je, samemu się nie zmieniając.

Twoje życie zależy do pewnego stopnia od butów; dbaj o nie jak należy. Ale kwadrans każdego dnia wystarczy, bo Twoje życie zależy również od wielu innych rzeczy.

Znajomy alpinista o znacznie większym doświadczeniu niż moje, powiedział mi: “Gdy nogi nie chcą już dalej Cię nieść, musisz iść na głowie”. I to prawda. Może nie jest to naturalny porządek rzeczy, ale czy nie lepiej jest chodzić głową niż myśleć stopami, co często ma miejsce?

Jeśli osuniesz się lub doznasz małego upadku, nie pozwalaj sobie na chwilę zwłoki. Znajdź znów swój rytm, gdy tylko się podniesiesz. Zanotuj w głowie dobrze okoliczności upadku, ale nie pozwól ciału pograżać się w tym, co zaszło. Ciało wiecznie próbuje być w centrum uwagi swoim drżeniem, zadyszką, palpitażami, dreszczami, potem i skurczami; ale szybko reaguje na drwinę i obojętność swojej pani. Gdy tylko wyczuje, że nie nabrała się ona na jego gry, gdy pojmie, że nie wywoła w ten sposób współczucia, podporządkowuje się i posłusznie wykonuje swoje zadanie.

Chwila niebezpieczeństwa.

Różnica między paniką a przytomnością umysłu.

Automatyzm – pani czy sługa.

Nie zatrzymuj się nigdy na ruchomym zboczach. Nawet jeśli znalazłaś dobre oparcie, by złapać oddech i spojrzeć w niebo, podłóżę przesuwa się po trochu pod Twoim ciężarem, żwir zaczyna niezauważenie się osypywać, a nagle usuwa się zupełnie, by posłać Cię w dół. Góra nieustannie czai się na Ciebie.

Gdy, po wejściu i zejściu z trzech stromych wąwozów, nogi zaczynają Ci drżeć, a zęby dzwonić, skieruj się na najbliższą półkę, gdzie możesz bezpiecznie odpocząć. Przeczysz wtedy swoją pamięć w poszukiwaniu wszystkich przysiąg, które usłyszałaś i rzuć nimi w górę,

napluj na nią, sklnij najohydniej jak potrafisz. Napij się wody, przekaś coś, a potem zacznij wspinać się znowu, łagodnie, powoli, jak gdybyś miała przed sobą całe życie na pokonanie trudnego miejsca. Tej nocy przed snem, gdy sobie o tym przypomnisz, uświadomisz sobie, jaka to była fikcja: nie rozmawiałaś wcale z górą, ani nie górę pokonałaś. Góra to tylko skała i lód, bez uszu i serca. Ale ta fikcja ocaliła Twoje życie.

Poza tym w trudnych chwilach złapiesz się na tym, że rozmawiasz z górą, schlebiasz jej, przeklinasz, obiecujesz i grozisz. I będzie Ci się wydawało, że góra odpowiada, jeżeli odpowiednio się do niej mówi – łagodnie, z pewną pokorą. Nie miej sobie tego za złe, nie wstydź tego zachowania, które specjaliści nazwaliby prymitywnym czy animistycznym. Pamiętaj tylko, gdy będziesz to potem wspominać, że Twój dialog z naturą był jedynie zewnętrznym obrazem wewnętrznego dialogu ze sobą samą.

Kiedy wypuszczasz się sama, zostaw ślad, który poprowadzi Cię z powrotem: kamień na kamieniu, trawa przyłożona patykiem. Ale jeśli dojdiesz do impasu lub groźnego miejsca, pamiętaj, że pozostawiony ślad mógłby sprowadzić ludzi idących za Tobą w niebezpieczeństwo. Cofnij się więc po swoim szlaku i usuń zostawione ślady. Tyczy się to wszystkich, którzy chcą zostawić po sobie jakiś ślad na tym świecie. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zawsze zostawia się ślady. Bądź gotowa odpowiedzieć przed innymi za szlak, który pozostawiłaś.

Wzrok kieruj na ścieżkę do szczytu, ale nie zapomnij patrzeć tuż przed siebie. Ostatni krok zależy od pierwszego. Nie myśl, że jesteś tam, tylko dlatego, że widzisz wierzchołek. Zwracaj uwagę na podłoże, bądź pewna następnego kroku, ale nie daj się mu odciągnąć od *najwyższego celu*. Pierwszy krok zależy od ostatniego.

Zgodnie z naszymi obliczeniami – nie myśląc o niczym innym – naszymi pragnieniami – porzucając wszelką inną nadzieję – naszym wysiłkiem – odrzucając wszystkie wygody cielesne – uzyskaliśmy

wejście do tego nowego świata. Tak nam się wydawało. Ale dowiedzieliśmy się później, że jeżeli udało nam się zbliżyć do Góry Analog, to było to dzięki temu, że niewidzialne wrota niewidzialnej krainy zostały dla nas otwarte przez tych, którzy ich strzegą. Kogut piejący bladym świtem myśli, że jego pienie podnosi Słońce; dziecko płaczące w zamkniętym pokoju myśli, że jego łkanie powoduje otwarcie drzwi. Ale Słońce i matka idą drogą rządzoną prawami ich własnego jestwa. Ci, którzy widzą nas, mimo że my nie widzimy ich, uchylili dla nas wrota, odpowiadając na nasze dziecinne obliczenia, na nietrwałe pragnienia i niezdarne próby, łaskawym powitaniem.